



HUSARIA TRADYCJI

MARZEC 2009 (1)

W numerze:

Hallmann: Słowo na marzec (2)

TMA TU I TAM

Hallmann: Ir Latgale musu (3)

Najdyhor: Ja a Powstanie 44 (4)

Siemianowski: Tajna Polska (6)

Hallmann: Wielka Polska? Katolicka! (8)

POCZET BOHATERÓW

Pilecki: List do córki (10)

Saule: Władysław Polesiński (11)

WYPISY

Dali: Dziennik geniusza (15)

Rymkiewicz: Rozmowy polskie latem roku 1983 (17)

Rymkiewicz: Ani guzika (18)

Englert: Polska w krótkich majteczkach (24)

Starowieyski: Walę z łokcia (27)

Doboszyński: Wielki naród (36)

POEZJA

Tuwim: Poeta zazdrości... (41)

Gajcy: O szewcu zadumanym (42)

Herbert: 17 IX (42)

I oto pierwszy numer Husarii Tradycji ujrzał światło dzienne. Czas pokaże czy będzie to miesięcznik, kwartalnik czy Phalanx (Phalanx to synonim słowa „nikt nie wie kiedy”). Szata graficzna jest uboga, aby wydruk nie pochłonął całego tuszu. Mam nadzieję, że brak obrazków rekompensuje treść. Są to głównie wypisy z ciekawych książek, artykułów etc. Jest też kilka materiałów autorskich. Zobaczymy w którą stronę pójdzie HT – czy będzie to pismo z wypisami, czy też miejsce przedstawiania swoich myśli i polemik. Cóż, ja jestem realistą i skłaniam się w kierunku pierwszego rozwiązania. Tyle ode mnie. D.H.

Tymczasem niech przemówi ktoś znacznie godniejszy niż ja:

Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę

idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch

ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo

bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy

a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze
ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych

niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda
dla szpiclów katów tchórzy - oni wygrają
pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę
a kornik napisze twój uładzony życiorys

i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy
przebacać w imieniu tych których zdradzono o świcie

strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz
powtarzaj: zostałem powołany - czyż nie było lepszych

strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy
światło na murze splendor nieba
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy

czuwaj - kiedy światło na górach daje znak - wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę

powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku

idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych
czaszek do grona twoich przodków: Gilgamesza, Hektora, Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów

Bądź wierny Idź



Dawid Hallmann Ir Latgale mūsu

Swego czasu zapytałem młodych Polaków co myślą gdy słyszą słowo „Łotwa”. Odpowiedź najczęściej brzmiała: „nie wiem” lub „nie”. Czasem był to „mały, biedny, nadbałtycki kraj”... i tyle. Ja jednak słysząc słowo „Łotwa” myślę o gościnności ludu mieszkającego nad Dźwiną, czy me widzą porośnięte mchem i porostami dęby a w głowie słycać pieśń... „Daugav` abas malas / Mūžam nesadalās: / Ir Kurzeme, ir Vidzeme, / Ir Latgale mūsu.” (Dźwiny oba brzegi / wiecznie niepodzielne: / jest Kurlandia, jest Vidzeme / jest Latgalia nasza).

Mimo iż jestem Polakiem i urodziłem się 1000 kilometrów stąd – na Górnym Śląsku, to czuję, że Łotwa „ir mūsu”. Słyszac to słowo czuję swojskość. Ów „mūsu” nie ma nic wspólnego z chęcią rewizji granic. Nic z tych rzeczy! Oczywiście tutejsza polskość (Kircholm, Platerowie, Dyneburg) jest ważna, jednak nie bardziej niż osobiste doświadczenia czy wspomnienia. Zawsze gdy przekraczam granicę z Łotwą (choć ponoć już nie ma granic) czuję, coś niepojętego. Serce mówi: „jesteś w domu”. Nie inaczej było pod koniec grudnia, gdy na zaproszenie Związku Młodych Polaków na Łotwie znów przekraczałem granicę.

Pierwszy raz przyjechałem na Łotwę 10 lipca 2006 roku... i prędko nie wyjechałem. Przez 10 miesięcy pracowałem jako wolontariusz z dziećmi i młodzieżą w wiosce Sece (w ramach europejskiego programu EVS). W maju 2007 wróciłem do Polski. Zamieszkałem w Tarnowie. Rok później powstało Towarzystwo Michała Archanioła. Zostałem pierwszym komendantem. Tym samym Łotwa stała się priorytetem w „polityce zagranicznej” TMA.

Pierwsza wyprawa Towarzystwa Michała Archanioła na Łotwę miała miejsce w sierpniu ubiegłego roku. Owocem ów wyprawy był kontakt z Krystyną Morzewską ze ZMPŁ. Pamiętam dobrze nasze spotkanie w Rydze - wiele pomysłów, refleksji, spostrzeżeń i nadzieja na wspólne działania. Potem jak często bywa nastala cisza. Zazwyczaj trwa ona już po wsze czasy, jednak nie tym razem! Gdy więc na początku grudnia dostaliśmy propozycję zagrania koncertu w Dyneburgu przyjęliśmy ją z nieskrywanym entuzjazmem.

Jednym z przejawów aktywności TMA jest badanie starych pieśni. W dziewiętnastowiecznych śpiewnikach pełno jest pięknych, zapomnianych ballad, dumek, dain... My to wyciągamy na światło dzienne, wertujemy, aranżujemy. Czerpiemy z tradycji, bierzemy to co najlepsze – i wołamy: „patrzcie ludzie jakie cuda tworzyli nasi ojcowie!”

Jednak nim znaleźliśmy się w Dyneburgu i nim zaśpiewaliśmy te pieśni to musieliśmy przebyć grubo ponad 1000 kilometrów. Już po powrocie z Łotwy mój znajomy (niezmordowany podróżnik) poprosił mnie o określenie dokładnej trasy jaką przebyliśmy. Usiadłem, pomyślałem i zacząłem odtwarzać naszą drogę. Wyglądała ona tak: Tarnów (26 XII rano) - Warszawa (26 XII wieczór) - Ryga (27 XII rano) - Dyneburg (27 XII popołudnie) - Liksna (28 XII rano) - Svente (28 XII południe) - Kraslava (28 XII popołudnie) - Dyneburg (28 XII wieczór) - Aizkraukle (29 XII rano) - Sece (29 XII południe) - Aizkraukle (30 XII rano) - Ryga (30 XII południe) - Wilno (31 XII rano) - Warszawa (1 I wieczór) - Tarnów (2 I rano).

Koncert zagraliśmy 27 grudnia (wieczorem). Jak zwykle zostaliśmy urzeczeni gościnnością. Oczywiście nie zdziwiło mnie to zbyt. Zresztą nie był to koniec miłych akcentów. Dzień następny spędziliśmy w drodze – szlakiem Platerów – Liksna, Svente, Krāslava. Jeździliśmy, oglądaliśmy a nad wszystkim unosił się komentarz naszej przewodniczki Ani. Oczywiście po drodze pojawiło się wiele refleksji i pomysłów. Niestety większość z nich zależy bardziej od naszego rządu aniżeli od nas samych. No bo przecież nikt z nas nie odrestauruje pałacu w

Krasławiu ani nie wesprze znacznie polskich szkół. Ta druga kwestia wydaje mi się priorytetowa. Wychodzę bowiem z założenia, że od edukacji zależy przyszłość Polaków - nie tylko tych na Łotwie, ale również w innych krajach (zwłaszcza byłego ZSRR). Polskie szkoły nie tylko powinny BYĆ, ale powinny reprezentować bardzo wysoki poziom nauczania. I aż niedobrze się robi gdy dochodzą głosy, że jakaś polska szkoła ma zostać zamknięta.

Moi towarzysze – Krzysiek Kołtunowicz (student stosunków międzynarodowych) i Rafał Halski (polonista) - nie żalowali, że wybrali się ze mną w tą daleką podróż. Na początku (w Dyneburgu) czuli się jak u siebie w domu – przecież każdy mówił po polsku. Jednak gdy wyjechaliśmy do Sece (Aizkraukles Rajons) poczuli się nieco nieswojo. Po łotewsku potrafili wszak 5 wyuczonych zdań: Es esmu (tutaj imię). Es esmu no Polijas (jestem z Polski). Es nerunaju Latviski (nie mówię po łotewsku). Man patik Latvija (lubię Łotwę). Es esmu foršs (jestem fajny). Zwykle wywoływało to uśmiech, raz tylko pracownik stacji paliw zapytał Krzyśka z niedowierzaniem: „Tu esi foršs?!”. Prawdziwa próba jednak miała nadejść - dzieci z Sece. Na noc zatrzymaliśmy się u babci (Livija), u której mieszkałem 10 miesięcy. Jej dwaj wnukowie – Eriks i Mārtiņš ZAWSZE mają w sobie niespożyte pokłady energii. Jakże dziwnie wyglądała rozmowa Rafała z Erykiem. Każdy w swoim języku. Taka specyfika tych „chłopców secejskich” – nic a nic nie zrażają ich polskie słowa „nic nie rozumiem, daj mi spokój” i z uporem próbują przekazać to co akurat uważają za istotne (co ciekawe dla moich kompanów najczęściej było to zupełnie nieistotne). Cóż, może to i dobrze. Dzięki temu Krzysiek i Rafał mogli nasłuchać się łotewskiego. Przyda im się, bo jak już wspomniałem Łotwa jest priorytetem w „polityce zagranicznej” TMA.

O naszej wyprawie można by dużo pisać (zarówno po polsku jak i po łotewsku) jednak zarówno artykuły jak i wyprawy mają swój kres. Cóż, to był mój trzeci powrót na Łotwę. I jak zwykle przywiozłem ze sobą do Polski ciemny chleb, cukierki Laimy oraz cały wór dobrych wspomnień. W sercu zaś wciąż brzmi „...ir Latgale mūsu”!

Artykuł ukaze się w najnowszym numerze gazety „Polak na Łotwie”.

Małgorzata Najdyhor **Ja a Powstanie 44**

Głębsze zmiany zaczęły dokonywać się we mnie wraz z zainteresowaniem tematem Powstania Warszawskiego. Natrafiłam niegdyś na fragment wspomnień Witolda Bartnickiego "Wiktora", "Kadłubka" ("Pamiętniki żołnierzy baonu Zośka"):

"Wybuchają pierwsze granaty. Potworny huk. Odnoszę wrażenie, że ziemia się kołysze. Widocznie wałą gamony. Ciskam teraz ja. Gamon potrójnie ładowany plastykiem, zakreśla wysoki łuk i nawet nie dolatuje do środka ulicy. Czuję, że tym rzutem zupełnie się skompromitowałem."

Wkrótce sięgnęłam po tę książkę, która okazała się być interesującą, momentami jednak niezrozumiałą. Zaczęłam poszukiwać głębszych, bardziej szczegółowych informacji. Baczniej przyglądałam się również Powstańcom, wyznawanym wartościom i ideałom przyświecającym warszawskiej młodzieży. Szczególną uwagę zwróciła postać Andrzeja Romockiego "Morro", który w przyszłości stawiany będzie przeze mnie na wzór.

Przywołując słowa Pawła Romockiego, kierowane w listach do synów:

"Jesteście z rodu rycerzy, zrosłych wszystkimi fibrami serca z Rzeczypospolitą i jej sprawami, i tego ducha szlachetnego macie obowiązek kultywować przede wszystkim w sobie (...)"

Zapatrując się w postawy przodków, zaczęłam wcielać reprezentowane przez nich wartości w swoim życiu. Rozbudziłam w sobie miłość do Ojczyzny i historii, a priorytetem stało się dla mnie kultywowanie tradycji. Poznałam również wielu wspaniałych ludzi, którzy utwierdzili mnie w słuszności wyznawanych ideałów.



Komentarz Hallmanna:

Poprosiłam Małgorzatę o napisanie refleksji dotyczących powstania warszawskiego, bowiem swego czasu otrzymałam od niej maila z którego wynikało, że zmiana jaka w niej zaszła, chęć pracy dla Polski to wynik podjętych kilka lat temu kroków mających na celu wyeksponowanie tego powstania i jego bohaterów. Byłem zdania, że „lans powstańczy” nie jest w stanie zmienić ludzi. A jednak, połączony ze świadectwami uczestników tego zrywu okazał się dawać owoce. Poniżej fragment otrzymanego przeze mnie maila (mam nadzieję, że autorka nie będzie miała mi tego za złe...).

Właściwie wszystko zaczęło się od zainteresowania historią Powstania Warszawskiego, jedna, druga przeczytana książka... i poleciało. Istotną rolę odegrała postać Andrzeja Romockiego "Morro", który przyczynił się do bliższego zapatrywania się w życiorysy i wyznawane przez Powstańców ideały. I tu pojawiło się we mnie pytanie "Czym ja kieruję się w życiu?". Zrodziła się jakaś chęć działania, kontynuowania pewnych postaw i tradycji. Ale później pojawił się też zastój, kiedy to potrzebowałam czasu na rozważanie pojawiających się w głowie myśli. Trochę się zniechęciłam, ponieważ nie znalazłam żadnego poparcia wśród otoczenia, sama zaś nie wiedziałam w jaki sposób działać, co właściwie robić. I pojawili się ludzie. Na dobry początek członkowie grup rekonstrukcji historycznych (przy okazji II Ogólnopolskiego Zlotu Grup Rekonstrukcji Historycznej w Parczewie), później moja Babcia, której właśnie chyba w najwyższym stopniu zawdzięczam to, jakim człowiekiem staram się być (choć może jeszcze jako przedszkolak nie zdawałam sobie z tego sprawy;)). Przełom? Wakacje 2008 w Warszawie, kiedy miałam zaszczyt poznać żyjących Powstańców. Po prostu niesamowite przeżycie, godzina 17 na Powązkach, później rozmowa m.in. z panem Wiktorem Matulewiczem "Luxorem" z "Zośki", który to opowiadał mi o przejściu kanałami, walkach na Czerniakowie, "Bajce"... Albo poznanie pana Stanisława Sieradzkiego "Śwista"... Tak więc po powrocie do Parczewa znów zaczęłam się zastanawiać nad sobą, bo takie siedzenie i biadolenie "bo u nas nie ma Powązek, bo u nas nie ma organizacji..." nic właściwie nie da. Jest historia, są ludzie - trzeba tylko robotników, jak sam powiedziałeś.

Paweł Siemianowski Tajna Polska

Na wstępie wypada wyjaśnić, skąd wziął się tytuł tekstu i samo pojęcie, którym określono jednocześnie pewne zjawisko i pewien program. W tym wypadku wzorowałem się na hasle „Geheimes Deutschland”, „Tajne Niemcy”, które pojawiło się najpierw w wierszu Stefana George na początku XX w., aby później od czasu do czasu rozbłyskać w mrokach niemieckiej historii. Podobno w okresie niemieckiej „wielkiej smuty”, w czasach Republiki Weimarskiej, ktoś złożył na cesarskim grobowcu Stauffów wieniec podpisany właśnie w ten sposób. Podobno za wcielenie „tajnych Niemiec” uważała się grupa młodych ludzi skupiona wokół niemieckiego poety, do której należał również niedoszły tyranobójca, Claus Schenk hrabia von Stauffenberg. Podobno tuż przed swoją egzekucją kaleka-bohater krzyknął: „Niech żyją tajne Niemcy!”. Podobno...

Możliwe, że czytelnicy tego tekstu zaczynają mieć w tym momencie pewne wątpliwości. Przyznaję, George i jego akolici nie wydają się Polakom specjalnie sympatyczni; mimo szczytnych ideałów byli skażeni typowym lekceważeniem, a może nawet wrogością wobec Polski, nieświadomi jej roli w historii Europy i obronie jej Ducha. Sam Stauffenberg też nie nadaje się do tego, by stawiać mu pomniki w naszej ojczyźnie; nie tylko z powodu swojego pruskiego nacjonalizmu, który kazał mu do pewnego momentu ślepo podążać za wodzem i który znalazł odbicie w odrażających opiniach o Polakach, jakie odnajdziemy w zapiskach hrabiego z czasu kampanii wrześniowej, ale również z powodu zwyczajnej nieudolności spiskowca i jego kolegów. Tak samo, jak nie wolno nikomu pomijać kluczowej roli odegranej przez Polskę w historii wspólnoty, jaką jest Europa, posługując się terminem „Intermarium” nie powinniśmy przemilczać roli różnych narodów niemieckich w historii wspólnoty, jaką jest Europa środkowa, a która to rola nie była z pewnością jednoznacznie złą.

Erkenne deine Feinde

W fundamentalnym dziele „Rewolucja i kontrrewolucja” Plinio Correa de Oliveira analizę procesu Rewolucji, który zachwiał ładem chrześcijańskiej Europy i rozkłada ją od wewnątrz, rozpoczyna od wymienienia dwóch zasad, jakimi posługuje się Nieprzyjaciel, by zwabić człowieka w swoje szeregi. Są to nieuporządkowane namiętności: pycha i zmysłowość, które w ramach pewnego procesu, zaznaczającego się w przełomowych wydarzeniach takich jak „reformacja” czy poszczególne rewolucje, zwodzą kolejne pokolenia na manowce. Warto pamiętać o wnioskach dr. Oliveiry, jeśli chce się rozpoznać współczesne zagrożenia dla Tradycji. Nie jest niczym niezwykłym, że budujemy sobie obraz wroga w postaci symbolu, którym może być konkretna osoba („herold-jakała”), organizacja, czy nawet naród. Wydaje się jednak, że taka postawa nie jest zbyt rozsądna, prowadzi do zbyt dużych uproszczeń w postrzeganiu świata, a co najgorsze, do zupełnego rozgrzeszania „towarzyszy broni” i siebie samego. W istocie kontrrewolucję trzeba zacząć od własnej osoby, nie spuszczać oczywiście oka z groźnych przeciwników po drugiej stronie frontu; tak samo bowiem, jak powinniśmy kochać bliźniego, nawet przeciwnika, jak siebie samego, powinniśmy tendencje rewolucyjne (czyli po prostu: złe, grzeszne) śledzić we własnej duszy, jak również mieć odwagę widzieć je w ludziach, których uważamy za sojuszników, żołnierzy Kontrrewolucji.

Erkenne deine Lage

Rozważając postać przeciwnika nie powinniśmy też zapominać o grupie, którą można by określić jako „trzecia siła”. Są to ludzie, którzy nie zdecydowali się walczyć, ani po stronie Rewolucji, ani pod sztandarem Kontrrewolucji; zaliczyć do nich trzeba także „kontrrewolucjonistów ducha”, którzy zrezygnowali ze swojej walki i, przepelnieni goryczą oraz

poczuciem osamotnienia, złożyli broń. Już przez swoją bierność działają na korzyść procesu rewolucyjnego, nie należy ich jednak zdecydowanie potępiać, ponieważ prawie każdy człowiek, oprócz tych najbardziej zepsutych, posiada pewne rozróżnienie między Dobrem a Złem I w życiu codziennym “zdarzają” mu się postawy czy odruchy kontrrewolucyjne. Przykładem niech będzie kwestia homoseksualizmu: wszędzie, zwłaszcza w Polsce, odnajdziemy ludzi przeciwnych wojującym sodomitom czy chociaż zachowującym wobec ich postulatów pewien dystans; nie jest to sprzeciw uświadomiony, wynikający z właściwego rozpoznania zagrożenia, na pewno ludzie Ci nie wiedzą, jakie znaczenie ma w Starym Testamencie użycie wobec pederastów słowa “toevah” (hebr. “obrzydliwość”). Mimo tego, mimo swojej niechęci do zdecydowanej walki po stronie kontrrewolucyjnej, widzimy, jak z różnych powodów przedstawiciele “trzeciej siły” nie poddają się propagandzie rewolucyjnej, przynajmniej w pewnych jej aspektach. Dlatego też, walcząc w obronie Tradycji, nie należy wynosić się nad “łuszcę” w złudnym poczuciu własnej wyjątkowości, ale raczej uważnie obserwować otoczenie i wspierać postawy kontrrewolucyjne u ludzi, którzy wciąż nie mają dość siły, żeby opowiedzieć się po naszej stronie.

Erkenne dich selbst

Docieramy zatem do sedna sprawy, do określenia pojęcia “Tajna Polska”. Wszędzie, w każdym środowisku odnajdziemy żołnierzy Kontrrewolucji, aktywnych w różnym stopniu i na wiele sposobów narażonych na pokusy, których całą ofertę przedstawia im codziennie Pięknoręki. “Tajna Polska” to niepisany sojusz, którego członkowie wspierają się razem w walce i odbierają Przeciwnikowi jedną z jego najpotężniejszych broni: samotność, która może wpędzić w rozpacz nawet najodważniejszego i najbardziej oddanego sprawie człowieka. Każdemu kontrrewolucjonście może się czasem wydawać, że jest ostatnim na świecie, który walczy za sprawę, I że pozostało mu jedynie polec na posterunku na wzór rzymskiego żołnierza w Pompejach, którego przywołał niegdyś Oskar Spengler, jeden z autorytetów niemieckiej “konserwatywnej rewolucji. Wiem z własnego doświadczenia, jak również z rozmowy z innymi ludźmi niosącymi sztandar Kontrrewolucji, jak niezwykle jest nagłe spotkanie z człowiekiem, który myśli i czuje jak my, i jak bardzo może ono podnieść na duchu osamotnionego obrońcę Tradycji.

Pojęcie “Tajna Polska” w moim rozumieniu tego słowa nie odnosi się jednak do konkretnej organizacji, ani, uchowaj Boże, do określonej partii politycznej. Mianem tym, jak wynika z powyższego, określam, znowu odwołując się do terminologii dr. Oliveiry, kontrrewolucjonistów i pół-kontrrewolucjonistów, którzy, nawet jeżeli prywatnie należą do organizacji poróżnionych przez ambicje przywódców czy drugorzędne różnice programowe, walczą pod tym samym sztandarem jako obrońcy cywilizacji łacińskiej. Pojęcie “Tajnej Polski” jest więc raczej opisem pewnego zjawiska i postawy życiowej, nie może jednak zostać zawłaszczone przez konkretną grupę osób.

Oczywiście, opisany przeze mnie program odnosi się nie tylko do Polaków, ale do wszystkich przedstawicieli cywilizacji łacińskiej, można by więc równie dobrze mówić o “Tajnej Hiszpanii”, “Tajnych Włoszech”, itd. Ponieważ jednak Polacy, jak każdy naród, mają zadania przydzielone wyłącznie im przez Opatrzność, nie staram się rozszerzyć tego pojęcia na inne narody, mimo że mógłbym znaleźć symbol na tyle silny, że zastąpiłby “Tajną Polskę” pojęciem ogólniejszym (co powiecie o “Niewidzialnej Wandei”? Albo o “Duchowym Poitiers”?). Trochę inaczej wygląda to w przypadku naszej części Europy i projektu “Międzymorza”. Podążając za podanym programem nie należy ograniczać się do polskości pojmowanej w kategoriach etnicznych, ale raczej starać się nawiązać kontakt z kontrrewolucjonistami wśród narodów, które tworzyły kiedyś Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Tylko zjednoczeni będziemy w stanie oprzeć się zawierusze, która, jak wszystkie znaki na to wskazują, prędzej czy później uderzy znów na Europę.

Śródtytuły w tekście: “Rozpoznaj swojego przeciwnika, rozpoznaj swoje położenie, rozpoznaj samego siebie” pochodzą z powieści “Wychowanie pod Verdun” napisanej przez Stefana Zweiga, niemieckiego Żyda urodzonego w Katowicach.

Dawid Hallmann Wielka Polska? Katolicka!

*To nasz sztandar się w górze unosi,
Orzeł biały korona go złoci,
Nasze myśli pragnienia,
Polska duma pochodzenia
Daje nam siłę istnienia -
Nowego polskiego odrodzenia!
Już nie będzie nam świecić nad głową
Żydowskiej gwiazdy czoło
Już nie będzie rzucona
Nasza Polska na kolana
Naszym duchem zawsze będzie
Nacjonalizm tu i wszędzie!*

Pamiętam jak rok temu (marzec/kwiecień) maszerując ulicami Tarnowa śpiewałem z Krzyśkiem Kołtunowiczem refren tej piosenki:

*Polska ponad wszystko
Polska moją ojczyzną
Polska moim domem
Polska z drugim morzem!*

Teraz gdy słyszę te słowa to wracają wspomnienia. Czuję wiosnę, ciepło promieni słonecznych na twarzy i świeżość wiatru... Wcale to jednak nie znaczy, że jestem nacjonalistą.

Nie jestem nacjonalistą!

Niepokoją mnie słowa „Polska ponad wszystko”. Bardzo często są one podstawą do tworzenia pogańskich teorii, do stawiania Narodu w miejscu Boga. Do tego dochodzi nieśmiertelne, odwieczne węszenie żydowskich spisków, tak jakbyśmy wciąż żyli w pierwszej połowie XX wieku. Zamiast zrobić krok do przodu spoglądamy za siebie, czy nie ma tam przypadkiem Żyda z dużym nosem pragnącego wbić nam nóż w plecy. O dziwo nie ma go tam. Więc stajemy i pojąć nie możemy, że Oni siedzą w biurach za oceanem i robią niezły biznes na „polskim antysemityzmie”. Stąd też zapytany o to kim jestem odpowiem raczej:

Jestem katolikiem!

Katolicyzm to słowo, które znaczy więcej. Ono wskazuje właściwą hierarchię. Bóg najpierw, potem zaś Ojczyzna – w myśl przykazań „nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną” oraz „czcij ojca i matkę swoją”. Prawdziwy katolik nie może być obojętny na los swego kraju. Mickiewicz pisał: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską a Polak Polakiem”. Budowanie tożsamości polskiej w oderwaniu od katolicyzmu jest fałszywe.

Ważna jest hierarchia.

Nie można przeprowadzić „nowego polskiego odrodzenia” bez „nowego katolickiego odrodzenia”. Jaki będzie katolicyzm taki będzie naród. Skoro więc coraz mniej ludzi chodzi do kościoła, coraz mniej przystępuje do stołu pańskiego to nie dziwny się, że mamy zbaraniały naród. Często mówimy o wychowaniu młodzieży. Ucząc ich tylko patriotyzmu nasz trud idzie na marne. To tak

jak z ziarnem rzuconym między chwasty lub na skałę. Jeśli sami nie będziemy katolikami – nie katolikami na papierze, tylko prawdziwymi synami Kościoła to daremny nasz trud. Daremny! W jednym ze swoich przemówień kard. A. Hlond powiedział: „Moi kochani diecezjanie, z nami kapłanami pracujcie, każdy na swoim stanowisku, abyśmy budowali to Królestwo Boże w Polsce. Bo Królestwo Boże jest duszą Narodu. A Naród Polski bez Królestwa Bożego jest trupem!”

Mam przed oczyma II RP.

Dewizę Wojska Polskiego wprowadzono w 1919 r. na mocy art. 1 pkt 6 i wzoru nr 10 do *Ustawy z dnia 1 sierpnia 1919 r. o godłach i barwach Rzeczypospolitej Polskiej* (Dz.U. Nr 69, poz. 416). Jak brzmiała? Honor i Ojczyzna. Nasuwa się więc pytanie: a gdzie się podział Bóg?

Mimo to w Wojsku Polskim pojawił się ruch odnowy moralnej. Mimo nieprzychylności władzy sanacyjnej działał Rycerski Zakon Krzyża i Miecza. Dla członków tej tajnej organizacji tradycja była czymś więcej niż zwykłym przywiązaniem do przeszłości - była żywa. Pragnęli oni odbudować dawny autorytet rycerza-żołnierza, który łączy swoje działania z głęboką wiarą. Przejawem tego miała być pogarda śmierci i hańby oraz miłość do Boga, Prawdy i Ojczyzny. Podczas wojny działacze Zakonu założyli inną podziemną organizację – Tajną Armię Polską. A kto był inspektorem organizacyjnym TAP? Witold Pilecki. Czy to przypadek?

Mam w rękach album wydany przez IPN. Są tam zdjęcia i listy rotmistrza Pileckiego. TO NIE PRZYPADEK, że kazał czytać swemu synowi książkę Tomasza a Kempusa „O naśladowaniu Chrystusa”. Pilecki był człowiekiem ogromnej wiary. Jego bohaterstwo w czasie wojny było naturalną konsekwencją jego katolicyzmu.

Bóg ponad wszystko!

Gdy pracowałem nad kampanią „Pamiętam. Katyń 1940” moją uwagę zwróciło jedno zdjęcie. Oficer WP, w mundurze, obok żona i córka. Gdzieś idą. Uśmiechnięci, z ich twarzy bije poczciwość. Podpis z tyłu głosi: „w drodze do kościoła”. Teraz oficer ten leży w Katyniu. Proponowano mu, jak dziesiątkom tysięcy innych, aby wyrzekł się swojej tożsamości. Nie potrafił tego zrobić. Jako napisano: „nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną” oraz „czcij ojca i matkę swoją”. Tacy ludzie może nie stanowili zdecydowanej większości. Większość zwykle jest byle jaka. Niemniej liczyli się w społeczeństwie, stanowili jego elitę. A dziś jakie mamy elity? Bandę wolnomyślicieli. Który z nich idzie w niedzielę z rodziną do kościoła?! Nie ma porządku. Nie ma hierarchii. Bóg tak, ale niczym sól (szczypta dla smaku), kościół tak, ale tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, „pójdę jak będę miał potrzebę”. Ciemność nadchodzi!

Po co to piszę?

Cóż, nikt z nas nie jest bez wad. Musimy być jednak świadomi porządku, do którego winniśmy dążyć. TMA nie jest bractwem religijnym, nie może być jednak organizacją areligijną. Nauka Kościoła, katolicka moralność – oto fundament, na którym powinniśmy budować naszą tożsamość. Tylko tak wskrzesimy dawną potęgę – potęgę wiernych synów Kościoła Katolickiego, jakimi byli nasi najwięksi bohaterowie. Wskrzeszanie samych form narodowych będzie niczym odkopywanie trupa. Dobre to dla nekrofilów, a nie dla prawdziwych Husarzy Tradycji...

Witold Pilecki List do córki

Komentarz:

Kim był rotmistrz Witold Pilecki? Dzielnym żołnierzem? Ochotnikiem do Auschwitz? Ofiarą komunizmu? A może... świętym? 25 stycznia została odprawiona na Wawelu msza w intencji Rotmistrza, podczas której modlono się o jego beatyfikację.

W ubiegłym roku IPN wydał niesamowity album ze zdjęciami. Są tam również listy. Do córki, do syna, a nawet wierszowany list do pułkownika Różańskiego (sic!), od którego zależało życie Pileckiego.

Poniżej przedstawiam list do córki z 1943 roku. Znak [?] oznacza, że nie jestem pewien, czy dobrze rozczytałem słowo.

18-10-43

Kochana Zosieńko!

Jestem bardzo rad z pierwszego Twego listu do mnie. Andrzejek też mógłby - pomimo chorej nóżki - list napisać, bo przecież list się pisze rączką, a nie nóżką - trzeba tylko być więcej zdecydowanym - no ale przypuszczam, że on napisze do mnie następnym razem. Bardzo się cieszę, że jesteś taką zaradną gospośią i lubisz różne zwierzątka hodować. Jak również plantować [?] wszelkie roślinki w ogródku. Ja również lubię każdego robaczka, żuczka, groszek i fasolkę i wszystko co żyje - dlatego też jest mi bardzo przyjemnie, że w Was - dzieciach moich - widzę te same cechy. Z Andrzejkiem też na pewno znajdziemy wspólne upodobania - gdy porozmawiamy ze sobą lub napiszemy do siebie listy.

Poprzedni list pisałem do Was jak do starszych; wiedząc o tem, że wszystkiego w nim dzisiaj jeszcze nie zrozumiecie, lecz pisałem dlatego o rzeczach najważniejszych, które zrozumiecie potem kiedyś - że żyjemy w takich czasach, kiedy nie wiadomo jest czy będę mógł pisać do Was gdy będziecie dorośli (a list może się przechować). Zosieńko! Masz takie ładne włoski, a chcesz je obcinać. Staraj się je zachować. Więcej cierpliwości.

Dziękuję Wam razem za wszelkie dobre życzenia, które mi przesyłacie, jak również za piękne [?] obrazki. Życzę Wam zdrowia, powodzenia w nauce i więcej cierpliwości w przyjmowaniu tego co Wam Mamusia lub inni starsi mówią. Całuję Was serdecznie.

Alina Saule (zebrała i opracowała) Władysław Polesiński

Władysław Polesiński przyszedł na świat 8 września 1906 w Żelechowie. Jego ojciec, Jan Polesiński, był stolarzem; matka – Paulina z Dębińskich – zmarła, kiedy syn miał 12 lat. Uczęszczał początkowo do gimnazjum w Żelechowie, udzielał się tam w harcerstwie. Następnie podjął naukę w Korpusie Kadetów nr 2 w Modlinie, potem w Oficerskiej Szkole Lotnictwa w Dęblinie. Ukończył ją w 1927 w stopniu sierżanta podchorążego; rok później został mianowany podporucznikiem, a w 1930 otrzymał odznakę pilota. W 1931 został awansowany do rangi porucznika. Służył później w 2 Pułku Lotniczym w Krakowie, studiując jednocześnie prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W 1928 ożenił się z nauczycielką Janiną Truchlińską; mieli syna Władysława urodzonego w 1936.

Podczas lotu ćwiczebnego z Lwowa do Krakowa w 1931 miały miejsce zdarzenia, które zadecydowały o jego dalszym życiu. Polesiński przy podchodzeniu do lądowania zmniejszył wysokość lotu do 200 m; wówczas silnik uległ awarii i samolot zaczął gwałtownie spadać. Maszyna, zahaczając o drzewo, spadła na ziemię. Polesiński twierdził, że po zawołaniu "Jezu ratuj!" usłyszał wewnętrzny głos. Wykonując jego polecenia, wydostał się wraz z obserwatorem z samolotu, po czym nastąpił wybuch. Swoje przeżycia opisał później w wierszu:

STAŁO SIĘ TO O GODZINIE DZIEWIĄTEJ WIECZOREM

*Noc czarna. Ziemia gdzieś pode mną 1500metrów, zgubiła się w mroku...
Gdy wtem motor, me serce, bić przestaje ... "Lądować!" - ciemno, szukam,
gdzież ta ziemia ... Wtem - łomot, huk, coś się wżera w krzyże,
Bucha płomień ... Szamocę się, ratunku, na próżno:
Kadłub przygniata cię-żarem do ziemi ...
"O Jezu!" Krzyk ten wydarł się jak oszalały ...
I wnet wyraźnie wewnątrz mnie rozkazy:
"Puść kłamry pasów! Pchnij tamte dźwigary! Uciekaj!"...
Spełniam ślepo, co ten głos mi każe,
i - jestem wolny. Już mnie nic nie praży.
Usiadłem nad swym niedoszłym śmiertelnym zwęgliskiem
i z twarzy ocierałem krew, co się lala żywa.
Nie śmiałem spojrzeć.
Czułem, że ktoś się z tych płomieni zbliża.
Schyliłem kornie głowę, bo szedł do mnie
On, Wielki, Miłujący Pan z Krzyża,
Jezus, Bóg! Do mnie, człowieka ...*



Z kolei syn Władysława Polesińskiego (również Władysław) wspomina:

Mama opowiadała mi o wypadku lotniczym mojego Ojca. Przedstawiła mi ten wypadek jako najważniejszy moment w ich życiu. Mama uratowanie się Ojca od śmierci określała jako cud. Kiedy Ojciec po tym wypadku dotarł do domu i opowiedział Mamie, jak uniknął śmierci - Mama na słowa Ojca odpowiedziała: "Żyjesz, bo przecież się bardzo o Ciebie modliłam, żebyś wrócił cały i zdrow". A stało się to o dziewiątej wieczorem.

Pod wpływem tego wydarzenia porucznik Polesiński stał się człowiekiem żarliwej wiary. Wkrótce też zaczął gromadzić wokół siebie grupę młodych oficerów różnych rodzajów broni, którzy w 1937 r. napisali w "Polsce Zbrojnej" cykl artykułów, określających podstawy nowego ruchu. Głosili ideę wykształcenia silnych charakterów, nowej elity, czegoś w rodzaju nowoczesnego rycerstwa i wychowania "mocnego człowieka" o żarliwej wierze i gotowości do jak najwierniejszej służbie Polsce. Celem tego miało być dokonanie swoistej "sanacji moralnej", powstrzymanie upadku moralności i kultury. W 1938 r. inicjatywa została sformalizowana poprzez oficjalne powołanie Rycerskiego Zakonu Krzyża i Miecza, na którego czele stanął kpt. dypl. W. Polesiński. Wśród jego członków byli m.in. ppor. pil. Jerzy Maringe i rtm. Jan Włodarkiewicz. Utworzenie i działalność Zakonu spotkało się z życzliwym poparciem Kościoła i niektórych środowisk prawicy. Natomiast zostało negatywnie przyjęte przez wyższych wojskowych i sanacyjne władze, gdyż głoszone hasła wskazywały, że dotychczasowe kierownictwo, zarówno wojskowe, jak też cywilne, nie uosabia postulowanych cech charakteru. W tej sytuacji rozpoczęto śledztwo i w maju 1938 r. władze wojskowe zakazały Zakonowi prowadzenia dalszej działalności.

Organizacja stawiała sobie za cel zrealizowanie nauki Chrystusa w życiu państwa i zdobycie dla Polski przewodnictwa moralnego wśród narodów, rozwój sił duchowych narodu w oparciu o etykę katolicką, wychowanie mocnych i prawych ludzi – przewodników moralnych. W tym celu jej członkowie codziennie wieczorem brali udział w apelu do Jezusa Chrystusa i Maryi – Królowej Narodu Polskiego.

Władysław Polesiński (syn) wspomina:

Godzina dziewiąta wieczorem była dla Ojca, a potem również dla całego Zakonu Krzyża i Miecza - godziną, w której każdy żołnierz Zakonu w modlitwie łączył się z Chrystusem". Kpt. Polesiński codziennie o godzinie 21 zdawał Chrystusowi meldunek z tego, czego dokonał w minionym dniu, i prosił o światło, czego ma z pomocą Mocy Bożej dokonać jutro. Takie są źródła Apelu Jasnogórskiego. Teraz już nie tylko Rycerski Zakon Krzyża i Miecza, ale cały Naród za przyczyną Kardynała Stefana Wyszyńskiego, staje do raportu przed Chrystusem razem z Maryją Królową Narodu Polskiego.

Sam założyciel Zakonu pisał:

Bo przedziwnie dotąd splatały się dzieje Narodu polskiego i polskiego oręża z imieniem Maryi. Z Jej imieniem, z pieśnią "Bogurodzica" na ustach ruszało w bój polskie rycerstwo. Jej oblicze z Obrazu Częstochowskiego zdobyło zwycięskie sztandary. Jej ryngraf błyszczał na piersi praojców, widomy symbol ich ideałów ... Jej opiece oddawano Rzeczpospolitą w chwilach - zdawało się - beznadziejnych, gdy już znikąd ratunku nie było widać. Ją to Jan Kazimierz z wdzięczności za ocalenie Ojczyzny obwołał po wieki Królową Korony Polskiej. A ileż wojen i bitew zwycięskich, w których krwawił się miecz polski w obronie Krzyża, zawdzięczamy wstawiennictwu! Jesteśmy przecież uczniami i bojownikami Chrystusa. On to sam na chwilę przed śmiercią - z Krzyża swego rzuca jednemu uczniowi, który wytrwał z Nim do końca, te słowa, wskazawszy na Maryję: "Oto Matka twoja". My te słowa podejmujemy, wstępując tym samym na wypróbowaną w Kościele Walczącym drogę, jaka prowadzi przez Maryję do Jej Syna. Uczymy się zatem darzyć Maryję czymś więcej niż tradycyjnym sentymentem, zacnym może, ale nie zawsze głębokim ... Uczymy się widzieć w Niej prawdziwą Hetmankę. Tę, która "starła głowę węża" - naszego odwiecznego wroga. Uczymy się szukać w Niej tej siły, którą znajdowało rycerstwo polskie pod Grunwaldem, Obertynem i Wiedniem, widzieć tę siłę, która przodkom naszym dawała szaleńczą brawurę i rozmach, która do skrzydeł husarskich przykuła tradycję zwycięstwa. Uczymy się, na przykładzie Jej życia, takich cnót prawdziwie męskich, jak opieranie się całym swym jestestwem o Boga, bohaterskiej, całopalnej ofiarności, dochowania wierności aż do końca. Z synowskim tedy oddaniem - często, szczerze a z ufnością - prosimy Ją, Królową Korony Polskiej, Patronkę Polskiej Młodzieży Akademickiej i

Patronkę naszego Zakonu, o światło dla oczu, o moc dla ramion naszych, moc na to, byśmy zbudowali Polskę Chrystusową, w której panowanie Maryi stanie się w każdej dziedzinie rzeczywistością ... Prośmy gorąco, a Ona nam niczego nie odmówi, jako Matka prawdziwa, bo "od wieków nie słyszano, by kogo, kto do Niej się ucieka, puściła"... Przez Nią więc do Syna - z Nim zaś po zwycięstwo!

RZKiM nawiązywał do tradycji rycerskich dawnej Polski. Dla członków Zakonu tradycja była czymś więcej niż zwykłym przywiązaniem do przeszłości, ale czymś żywym. Pragnęli oni odbudować dawny autorytet rycerza-żołnierza, który łączy swoje działania z głęboką wiarą. Przejawem tego miała być pogarda śmierci i hańby oraz miłość do Boga, Prawdy i Ojczyzny. Polska miała być krajem przeznaczonym do wielkich czynów, mocarstwowej pozycji i moralnego przewodniczenia narodom. Zanim to jednak nastąpi, musiała najpierw dojrzeć duchowo, w czym pomocna miała być etyka katolicka. Każdy z "rycerzy" miał wypełniać swoje obowiązki w przykładowy sposób, stając się wzorem dla innych, jak też samemu kształtując w sobie zalety niezbędne do służby krajowi. Zakon miał ponadto bardzo silny charakter antykomunistyczny. Wydawał pismo pt. "Krzyż i Miecz".

Z powodu tajności działania do Zakonu nie można było się zapisać, a jedynie zostać przyjętym. Członkami mogli być tylko Polacy wyznania katolickiego. Upatrzonych kandydatów o właściwej postawie moralnej zapraszano na specjalne rozmowy przedstawiające cele i zadania organizacji. Następnie wypełniali oni kwestionariusze rozpatrywane przez kierownictwo. Przyjęci kandydaci przybierali sobie pseudonimy i tylko pod nimi byli znani w organizacji. Nie ograniczono się zresztą tylko do wojskowych, werbowano również nauczycieli, literatów, czy dziennikarzy.

W latach 1935-1937 Podlesiński był słuchaczem Wyższej Szkoły Wojennej. W 1936 został kierownikiem referatu w Wydziale Studiów Ministerstwa Spraw Wojskowych. W 1938 został mianowany kapitanem, a 2 maja 1938 odznaczony brązowym Medalem za Długoletnią Służbę.

W latach 1938-1939 Władysław Polesiński był zaangażowany w działalność społeczną i propagandową. Krzewił ideę mocnego człowieka. Był to w jego zamyśle obywatel o silnej woli, zdolny do natychmiastowych ofiar dla Boga i Ojczyzny. Pragnął przywrócić ideał rycerza-żołnierza, który łączył wiarę z patriotyzmem. Polesiński publikował artykuły w prasie (Polska Zbrojna), głosił pogadanki w Polskim Radiu i wygłaszał prelekcje. Władze wojskowe nie były jednak przychylnie jego działalności, gdyż głoszone hasła sugerowały, iż ówczesne zwierzchnictwo nie posiadało cech propagowanych przez Polesińskiego. Po śledztwie w maju 1939 władze wojskowe zakazały zakonowi prowadzenia dalszej działalności. Mimo tego kapitan Polesiński dalej publikował broszury i wygłaszał mowy. Od czerwca 1939 wydawał miesięcznik Krzyż i Miecz, a w kwietniu opublikował Biuletyn Dozbrojenia Moralnego Narodu. Wycofania ze sprzedaży jego broszury Żołnierz polski a żołnierz niemiecki zażądała ambasada Niemiec. Tymczasem jego prelekcji słuchały wielotysięczne tłumy: w Gdyni 2 tys. osób, w Poznaniu 3 tys., w Katowicach 3 tys. na sali i 4 tys. na ulicach, przy głośnikach. Przemawiał także w Wilnie, Toruniu i Bydgoszczy i trzykrotnie w Warszawie.

Po wybuchu II wojny światowej Polesiński został przydzielony do dowództwa lotnictwa Armii Modlin jako oficer sztabu. Kiedy dowództwo przeniosło się na południe, on pozostał w Warszawie. Od 10 września w codziennych audycjach Polskiego Radia przemawiał zaraz po prezydencie Stefanie Starzyńskim. 16 września 1939 wystartował w samolocie RWD-8 i zaginął bez wieści; prawdopodobnie został zestrzelony gdzieś pod Warszawą.

Ks. prałat Zdzisław J. Peszkowski określił Polesińskiego mianem "człowieka pełnego wiary i wewnętrznej prawości żołnierza, zatroskanego o moralny kształt Polski".

Na koniec o pewnym krzyżu... Otóż 2 listopada 1935 roku we wsi Kujawy, gdzie miał miejsce wypadek odbyło się oświecenie drewnianego krzyża, ufundowanego przez porucznika Polesińskiego. W kronikach parafii pleszowskiej istnieje zapis oryginalnych ogłoszeń parafialnych. Ówczesny proboszcz pleszowski ks. Antoni Góralik tak zwracał się do parafian 27 października 1935 roku, na tydzień przed tą uroczystością:

W sobotę – Dzień Zaduszny po południu postawienie i poświęcenie krzyża dziękczynnego, fundowanego przez pewnego porucznika lotnictwa, który cudownie uniknął śmierci w płonącym samolocie i opadł na Kujawach. Tam właśnie o godz. 3-ej po południu będzie postawiony i poświęcony krzyż pamiątkowy. Ludność z Kujaw i Pleszowa oraz innych pobożnych wiernych zapraszam do udziału w tej niezwyklej uroczystości.

Mieszkaniec wsi - Franciszek Wójcik wspomina:

Mój rodzinny dom był tu, na Kujawach –Zalesiu . Nie byłem przy płonącym samolocie, ale miejsce gdzie splanął oczywiście jest mi znane, bo z innymi kolegami zbieraliśmy jeszcze jakiś czas po tym wydarzeniu różne śrubki i inne fragmenty jakie pozostały po samolocie. Doskonale pamiętam poświęcenie drewnianego krzyża. Ludzie byli tutaj wkoło, na wale wiślanym a niektórzy nawet na drzewach. Było bardzo wielu ludzi, ogromna rzesza jak na niewielkie Kujawy. Krzyż dowieziono pod kapliczkę (teraz ulica Popielnik) i stąd był już niesiony, bo dalej konie nie mogły ciągnąć wozów z powodu błota. Pilota Polesińskiego pamiętam, jako wysokiego, przystojnego mężczyznę. Pamiętam, że na końcu swojej przemowy, pilot się rozplakał. Krzyż był wysoki, drewniany i od razu został otoczony przez mieszkańców Kujaw cziq. Moja mamusia i inne osoby przychodziły w to miejsce pomodlić się. A kiedy przychodziły trudne chwile powodzi, staliśmy na wale i patrzyliśmy co się dzieje z krzyżem, prosząc Boga o ocalenie naszych domów. Usytuowanie krzyża za wałem narażało go na zniszczenie przez wezbrane wody Wisły. Woda zabierała krzyż dwukrotnie. Raz dopłynął Wisłą aż do Opatowca. Po powodzi w roku 1997 był już tak zniszczony, że postanowiłem, abyśmy wykonali krzyż betonowy. Jest niższy od oryginału, ale ma betonowy postument i udało nam się w składzie czteroosobowym, donieść go tutaj na miejsce. Poświęcił go ksiądz proboszcz Jan Hyc. Na krzyżu nie ma tabliczki i pewnie nie wszyscy wiedzą na jaką pamiątkę go postawiono. Do Mogiły jest stąd około 5-6 km a dawniej było bardzo dogodne połączenie wałem wiślanym Wały były utrzymywane w doskonałym stanie, trawy były sieczone i spokojnie można było iść, jechać rowerem gdy go ktoś miał.

Biografia jest kompilacją różnych artykułów znalezionych w internecie.

Salvador Dali Dziennik geniusza

Na moją prośbę i za zgodą wydawcy niektóre lata i dni muszą na razie pozostać nieznane. Rządy demokratyczne nie są w stanie publikować wiadomości o rewelacyjnych odkryciach, jakie dla mnie są chlebem powszednim. Niewydane materiały ukażą się później w ośmiu kolejnych tomach pierwszej serii Dziennika geniusza, jeśli zaistnieją ku temu sprzyjające okoliczności; jeżeli nie — w drugiej serii, kiedy Europa powróci do swego tradycyjnego ustroju monarchicznego.

(...)

Niemniej, w okresie dzieciństwa, kiedy umysł mój spragniony był wiedzy, w bibliotece ojca znajdowałem wyłącznie książki o treści ateistycznej. Przeglądając je, skwapliwie przyjąłem do wiadomości (i nie było to wcale dziełem przypadku), że Bóg nie istnieje. Z nieprawdopodobną cierpliwością czytałem encyklopedystów, którzy wydają mi się dzisiaj okropnie nudni. Słownik filozoficzny Woltera na każdej Stronie dostarczał mi argumentów natury prawnej (podobnie jak w wypadku ojca, który był notariuszem) na nieistnienie Boga. Kiedy po raz pierwszy otworzyłem Nietzschego, doznałem głębokiego wstrząsu. Bez ogródek potrafił powiedzieć: „Bóg umarł!” Jakże to! Właśnie dowiedziałem się, że Bóg nie istnieje, a teraz ktoś powiadamia mnie o jego zgonie! I tak zrodziły się pierwsze wątpliwości.

(...)

Federico Garcia Lorca, zafascynowany wąsami Hitlera, oświadczy później, że „wąsy są stałym elementem tragicznym ludzkiej twarzy”. Nawet pod tym względem miałem przewyższyć Nietzschego! Moje wąsy nie będą przygnębiające, katastroficzne, przytłoczone muzyką wagnerowską i mgłami. Nie! Będą wysmukłe, imperialistyczne, ultraracjonalistyczne, strzelające ku niebu niczym mistycyzm wertykalny, niczym struktury pionowe hiszpańskich związków zawodowych.

(...)

Najprostszy sposób, aby nie czynić żadnych ustępstw na rzecz złota — to mieć je samemu. Mając złoto, nie trzeba się w nic „angażować”. Bohater nigdzie się nie angażuje! Jest on całkowitym przeciwieństwem służącego.

(...)

Dzieci nigdy szczególnie mnie nie interesowały, a już najmniej interesują mnie malowidła dziecięce. Dziecko-malarz wie, że jest to namalowane źle, natomiast dzieckokrytyk wie ponadto, że wie, że jest to namalowane źle. A zatem dziecko-malarz-krytyk, które wie, że wie, że wie, że jest to namalowane źle, ma tylko jedno wyjście: powiedzieć, że jest to namalowane bardzo dobrze.

(...)

Przypomniało mi to mój pierwszy w życiu utwór literacki. Miałem wówczas siedem lat, a opowiadanie było następującej treści. Matka przechadza się z dzieckiem w czerwcową noc. Widać spadające gwiazdy. Dziecko łapie jedną z nich, chowając ją w dłoni. Po przyjsciu do domu kładzie ją na stoliku nocnym i zamyka w odwróconej szklance. Rankiem, budząc się wydaje przeraźliwy okrzyk: jego gwiazdę przez całą noc toczył robak! (...)

Połykanie — owa konieczność, którą analizowałem już dawno temu w ramach studiów nad kanibalizmem — związane jest nie tyle z potrzebą odżywiania się, co raczej z nieodzownymi funkcjami natury afektywnej i etycznej. Połykanie ma na celu całkowite, absolutne wręcz utożsamienie się z istotą, którą miłujemy. I tak połykamy hostię nie przeżuając jej — oto antagonizm między żuciem a połykaniem. Święty pustelnik stara się oddzielić te dwie rzeczy. Aby najpełniej utożsamić się ze swą ziemską i przeżuwającą (w pewnym sensie filozoficzną) egzystencją, pragnąłby posługiwać się jedynie szczękami w celu przeżycia. W ten sposób przywilej połykania zarezerwowany byłby wyłącznie dla Boga.

(...)

Złożyło mi wizytę dwóch durnowatych panów inżynierów. Słyszałem już ich rozmowę, jak schodzili po zboczu. Jeden dawał do zrozumienia drugiemu, że uwielbia jodły.

— Port Lligat jest zbyt wypalony—ciągnął —lubię jodły, ale raczej nie z powodu cienia, z którego nigdy nie korzystam. Lubię po prostu ich widok. Lato bez jodły nie byłoby dla mnie latem. Mówię sobie w duchu — czekaj no, ty! Już ja ci pokażę te twoje jodły!

Przyjmuję owych panów bardzo uprzejmie, zmuszając się do konwersacji wypełnionej w stu procentach frazesami. Są mi za to niezmiernie wdzięczni. Nagle, wchodząc na taras, dokąd ich odprowadzam, zauważają moją monumentalną czaszkę słonia.

— Co to jest? — pyta jeden z nich.

— Czaszka słonia — odpowiadam. — Bardzo lubię czaszki słoni. Zwłaszcza latem. Byłoby mi trudno się bez nich obejść. Nie wyobrażam sobie lata bez czaszki słonia.

(...)

Zresztą dla mnie, fanatyka zarażonego imperialistyczną precyzją, nie ma na świecie nic tak miłego, przyjemnego i odprężającego, a nawet urokliwego, jak transcendentalna ironia, którą implikuje zasada nieoznaczoności Heisenberga.

(...)

Podstawą wszelkich zwycięstw jest strój. W moim życiu było bardzo niewiele sytuacji, kiedy zhańbiłem się cywilnym ubraniem. Zawsze mam na sobie uniform Dalego.

(...)

James wynajął wówczas pałacyk Cimbrone w pobliżu Amalfi. Willa ta zainspirowała Wagnera do napisania Parsifala. Zapraszał Lorcę i mnie, byśmy zamieszkali u niego tak długo, jak zechcemy. Przez trzy dni mój przyjaciel zmagał się z dramatycznym dylematem: jechać czy nie jechać? Co kwadrans zmieniał zdanie. W Granadzie cierpiący na serce ojciec czuł zbliżającą się śmierć. W końcu Lorca obiecał, że przyjedzie do nas, jak tylko zobaczy się z ojcem, by pozbyć się obaw. Tymczasem wybuchła wojna domowa. Rozstrzelano go, a ojciec żyje do dziś.

(...)

Malarzu, nie jesteś mówcą! Maluj więc i milcz!

(...)

Powyższe wypisy pochodzą z 1/3 książki. Kolejne w następnym numerze HT.

Jarosław Marek Rymkiewicz Rozmowy polskie latem roku 1983

Wydaje mi się, że w dziewiętnastym wieku, kiedy byliśmy podzieleni, było nam jednak chyba nieco lepiej niż teraz. Rozbiory były nieszczęściem, tak. Ale zawsze lepiej być we władaniu kilku potęg niż we władaniu jednej, bowiem między kilkoma potęgami można lawirować, można je szantażować, a jeśli jest się wydanym na łaskę i niełaskę jednej potęgi, to ta potęga nie chce o niczym słyszeć, jest ślepa i głucha na nasze błagania i jęki, i to właśnie dlatego, że jest jedna, że nie musi z inną potęgą, co by nas też trzymała w swoich łapach, rywalizować czy konkurować. Kto mieszkał w Kongresówce, a miał już dosyć, bo carat za bardzo mu dopiekl, ten mógł zawsze wyjechać, choćby i przez zieloną granicę, do Krakowa czy do Poznania. I tę książkę – zamyśla się pan Mareczek – co ją właśnie piszę, mógłbym, gdyby żył w dziewiętnastym wieku, wydać w Galicji, u Połonieckiego. Tam cenzura była jednak znacznie łagodniejsza, a po bitwie pod Sadową można było właściwie pisać już o wszystkim, nawet o tym, jak podli są Austriacy.

(...)

Polacy zostaną ocaleni, ponieważ są, zawsze byli i nadal muszą być Przedmurzem Chrześcijaństwa. Czyli Przedmurzem Prawdy, Dobra, Piękna. Pojmij to wreszcie, głupia Europo. Gdyby nie my, Diabeł już dawno posiadłby cię i zapłodnił. I rodziłabyś, rozpustna dziwko, diabelskie bękarty. I tylko my, obrzydliwa niewdzięcznico, możemy cię wyrwać z jego szponów, tylko my możemy cię osłonić przed ciosami diabelskiego miecza. I osłaniamy cię, bo te ciosy bierzemy na siebie.

(...)

- No więc co panu, wiedzącemu o Polsce akurat tyle co Anglik – pyta profesor – powie ta mapa?

I otwierając *The Historical Atlas of Poland* Profesor pokazuje panu Mareczkowi mapę, której legenda zatytułowana jest: „Poland and Lithuania in the 15th Century”. Mapa przedstawia ogromną krainę, rozciągającą się od Tuły i Kaługi na wschodzie – tam granica znajduje się nad Oką i w jednym miejscu dotyka Wołgi – po Zbąszyń i Oświęcim na zachodzie – tam, pod Głogowem, granica dochodzi do Odry – i od Półwyspu Helskiego, Kłajpedy i Mitawy na północy po Odessę i deltę Dunaju na południu. Aby przedstawić tę krainę, użyto dwóch kolorów: różowego i jasnobeżowego. Kilka niewielkich fragmentów zabarwionych jest także na zielono lub na fioletowo. Ta część krainy, która zabarwiona jest na różowo, to niezbyt szerokie pasmo ciągnące się od północnego zachodu na południowy wschód, od wybrzeży Bałtyku po deltę Dunaju i Morze Czarne. To są zachodnie kresy tego kraju. Znacznie większa, cztery, a może pięć razy większa od tego pasma jest wschodnia część krainy, ta w kolorze jasnobeżowym, ta między Kłajpedą, Wołgą, Oką i wreszcie Krymem na południu. Krym jest w kolorze białym i z mapy wynika, że Khanate of Crimea nie został przez jasnobeżową krainę wchłonięty, choć zapewne musiano tam się liczyć z taką ewentualnością.

- No więc czego dowiedział się pan z tej mapy? powtarza swoje pytanie Profesor. - Ale przypominam jeszcze raz, że jest pan Anglikiem.

- Dowiedziałem się – odpowiada pan Mareczek – że w XV wieku w środkowo-wschodniej Europie istniało ogromne państwo, chyba największe ze wszystkich państw Europy. Było to państwo Litwinów. Podbiło ono i wchłonęło sąsiednie księstwa i królestwa zamieszkałe przez Polaków, Tatarów i Ukraińców. Polakom, jak wynika z mapy, udało się jednak zachować pewną odrębność, bowiem zachodnie kresy państwa Litwinów oznaczone zostały inną barwą. Gdybym jeszcze wiedział, że w Krakowie rządziła wówczas litewska dynastia, musiałbym też powiedzieć, że to, co Litwini wtedy sobą reprezentowali – militarnie, ekonomicznie, kulturowo – było zapewne

niezwykle atrakcyjne dla ich sąsiadów. Ale może, gdybym był Anglikiem, dopuściłbym myśl inną: że było to barbarzyńskie plemię, które – jak to z barbarzyńcami bywa – nagle wyruszyło ze swoich siedzib i podbiło sąsiednie księstwa o znacznie wyższym, być może, poziomie cywilizacji i kultury. Miałbym jednak, jako ten Anglik, kilka pytań. Dlaczego Litwini, jeśli już tacy byli potężni, jeśli już tak się objęli terytoriami sąsiadów, nie doszli do Renu i nie przeszli Renu? Dlaczego korony Mendoga nie włożył na głowę jakiś cesarz czy król w Wiedniu, w Paryżu, w Rzymie? Dlaczego nie powstało jakieś cesarstwo rzymskie narodu litewskiego? Może my, siedzący na tym pasie w kolorze różowym, zagroiliśmy Litwinom drogę do trwałej wielkości, do wielowiekowej potęgi? I gdzie jest dzisiaj korona Mendoga? Ale przepraszam, bo to już nie jako ten Anglik pytam, tylko jako Polak. Jako Anglik chciałbym jeszcze wiedzieć, dlaczego oni teraz, jeśli byli tacy potężni, siedzą w kilku miastach i miasteczkach gdzieś tam w jakimś kącie nad Bałtykiem? I raczej nie wygląda na to, żeby myśleli o podbiciu Krymu.

Ani guzika

Z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem rozmawia Krzysztof Masłoń

Pańska najnowsza książka – „Kinderszenen” w dużej mierze poświęcona jest powstaniu warszawskiemu. Co sprawiło, że postanowił pan zmierzyć się z tym tematem?

O napisaniu takiej książki myślałem od kilkunastu, może nawet od 20 kilku lat. Początkowo miała ona wyglądać zupełnie inaczej. W pierwotnym zamyśle, tym sprzed lat, była to opowieść o dwóch ostatnich tygodniach życia Tadeusza Gajcego i Zdzisława Stroińskiego, które są niemal całkowicie nieznane. Właściwie nic nie wiadomo poza tym, że 16 sierpnia 1944 roku wylecieli w powietrze razem z pięciopiętrową oficyną na ulicy Przejazd. Ale uważałem, że coś się da odtworzyć, zrekonstruować na podstawie militarnej historii tamtego miejsca, która jest niezłe znana. Myślałem wtedy o tym, że napiszę coś o śmierci tych dwóch poetów, a także o Warszawie lat wojny i o moim dzieciństwie.

Kiedy zacząłem pisać, wszystko ułożyło się jakoś inaczej. Tak to zwykle bywa. Przede wszystkim okazało się, że to, co chciałem napisać, zostało już częściowo napisane przez kogoś innego, a mianowicie przez Stanisława Beresia, który opublikował biografię Tadeusza Gajcego i zbadał źródła – wszystko to, co było do zbadania. No i okazało się też, co również często się zdarza, że o tym, co zostanie napisane, decyduje nie pisarz, lecz książka. I ta moja książka nagle zaczęła chcieć ode mnie czegoś innego. Zaczęło ją interesować trochę inne terytorium: od tego narożnika Leszna, Rymarskiej i Przejazdu, gdzie zginęli Gajcy i Stroiński, zacząłem przesuwając się ulicą Długą, wprzód jej parzystą, a potem nieparzystą stroną w kierunku ulicy Barokowej i placu Krasińskich, a gdy już tam się znalazłem, skręciłem w stronę Bonifraterskiej i Inflanckiej.

I wtedy okazało się, że jestem już całkiem niezłym specjalistą, zresztą kompletnie nikomu nieznanym, od walk powstańczych na Starym Mieście i prawdopodobnie mógłbym napisać ich militarną historię, która także została już napisana, i to nawet kilka razy. Ale też pewnie napisałbym ją trochę inaczej. Książka chciała ode mnie jednak jeszcze czegoś innego i kiedy znalazłem się na rogu Długiej i Kilińskiego, to zająłem się tym jednym miejscem, co wiązało się też z tym, że przez kilka lat tam właśnie mieszkałem – w tym miejscu niesamowicie symbolicznym, jednym z tych wulkanicznych miejsc Warszawy, gdzie duch polski przybierał swoje kształty symboliczne: wcielał się w ludzi, budowle, wydarzenia. Czy pan wie, że dokładnie w tym miejscu, w którym 13 sierpnia 1944 roku wybuchł czołg-pułapka, 150 lat wcześniej, o świcie, w pierwszym dniu insurekcji kościuszkowskiej szewc Kiliński zabił pierwszego rosyjskiego jeźdźca? To był jakiś huzar – Kiliński ściągnął go z konia i uciął mu głowę szabłą. I tak się stało, że ta moja książka, jeśli chodzi

o powstanie warszawskie, ograniczyła się właściwie do jednego głównego wątku: wybuchu czołgu-pułapki oraz przyczyn tego wybuchu, a także kilku wątków pobocznych, które razem skłoniły mnie do postawienia pytania: dlaczego Niemcy to wszystko zrobili? Skąd wzięła się ta ich wola mordowania i co to jest takiego ta wola mocy, która wtedy się ujawniła? Przydatne okazały się moje wspomnienia z dzieciństwa, bowiem stanowią one, w moim przekonaniu, fundament „Kinderszenen”. Mój pisarski zamiar jest o nie wsparty – to wszystko było częścią mego życia, a zatem mam prawo o tym mówić.

Pewnie niełatwo pisać i mówić o klęskach. Potrafili to jedynie romantycy po przegranym powstaniu listopadowym.

Wielcy poeci polskiego romantyzmu uważali, że wiedzą o historii więcej, niż ona sama wie o sobie. Wiedzieli więcej i dlatego Mickiewicz mógł napisać III część „Dziadów”, Słowacki „Lillę Wenedę”, a Krasiński „Nie-Boską komedię”. To jest niby jakaś fikcyjna opowieść, „Nie-Boska...”, coś w rodzaju historycznej fantazji, ale ta fantazja dowodzi, że Krasiński wiedział, co się wydarzy, kiedy historia jeszcze tego nie wiedziała – wiedział, że Europa stanie się terenem walki między Chrystusem a tym wcieleniem Antychrysta, jakim okazał się komunizm. Wiedział też, jak to się skończy – wiedział, że cywilizacja Chrystusa zwycięży, a komunistyczny antychryst upadnie na swoje ruiny z krzykiem: „Galilae, vicisti!”. To jest całkowicie fantastyczna, a zarazem całkowicie realistyczna wizja historii. My utraciliśmy tę romantyczną umiejętność przenikania w głąb historii, rozjaśniania jej przeszłych i przyszłych tajemnic. Dlatego tajemnica powstania warszawskiego pozostaje niewyjaśniona. Żeby napisać legendarną powieść powstania, trzeba by dotrzeć do tej tajemnicy.

Czy gdyby pan nie był tak przesiąknięty literaturą romantyczną, zdecydowałby się pan na napisanie takiej książki o powstaniu warszawskim, jaką jest „Kinderszenen”?

Bardziej niż moje związki z literaturą, a szczególnie z literaturą romantyczną, zadecydowało o tym moje życie. Niemiecka wojna zrobiła mnie tym, kim teraz jestem. Byłem chłopcem ze środka Warszawy, z rogu Marszałkowskiej i Koszykowej i to, co wtedy widziałem, ukształtowało całe moje życie. To kształtowało mnie potem przez lata, w jakiś sposób dla mnie niezauważalny. Wreszcie przyszła taka chwila, kiedy zrozumiałem, że to jest fundament mojej osobowości, że mam to za plecami i o to się opieram – że myślę tak, jak chciała i nadal chce wojna. Dlatego w mojej książce pojawia się taki rozdziałek, który nazywa się „Głowa wojny”. Grecy nazywali to mojram, czyli przeznaczeniem. Dla mnie tamta niemiecka wojna okazała się rodzajem przeznaczenia – to był mój los, wszedłem w krąg wojny i nie było z niego wyjścia.

W „Kinderszenen” wciąż pojawia się, choć raczej niestawiane wprost, pytanie graniczące ze zdumieniem: „Dlaczego żyję?”

Każdy, kto przeżył tutaj wojnę, mógł jej nie przeżyć. Kto przeżył, ten żyje przez przypadek, jego istnienie jest przypadkowe. Także ja mogłem nie przeżyć, bo to przecież był przypadek, że 1 sierpnia nie było mnie w Warszawie. Pochodziłem z dość zamożnej warszawskiej rodziny, rodzice byli, jak na okupacyjne warunki, stosunkowo nieźle sytuowani i byli w stanie wywieźć dwoje dzieci, siostrę i mnie, na wakacje pod Warszawę, do Piaseczna. Ale mogło być i tak, że byłbym wtedy na Koszykowej, no a tam to nie wiadomo, co by się zdarzyło. Jeden dom ocalał, a w drugi trafił pocisk z niemieckiej „krowy”. Albo przyleciałyby stukasy. W maju i w czerwcu 1943 roku Rosjanie kilkakrotnie bombardowali Warszawę. To były nocne naloty, ich samoloty latały nisko, ale rzucali bomby trochę niecelnie. Mieszkaliśmy w pobliżu hali na Koszykach, którą, prawdopodobnie ze względu na jej przeszklony dach rosyjscy lotnicy brali za dworzec i bombardowali ze szczególnym uporem. Pamiętam taką noc, bodajże majową, kiedy na skrzyżowaniu Marszałkowskiej, Śniadeckich i Koszykowej rozpętało się piekło. Moja matka uważała, że w piwnicy nas zasypie, więc tylko zeszliśmy z naszego trzeciego piętra i przeżyliśmy to bombardowanie trochę w bramie, a trochę na schodach między parterem i pierwszym piętrzem. Uciekałem matce i stojąc przed bramą, patrzyłem na dom, który palił się po drugiej, nieparzystej

stronie Koszykowej. My mieszkaliśmy pod numerem 38. W tym domu naprzeciwko nas, dokładnie vis-a-vis naszych frontowych okien, mieszkali volksdeutsche, jakaś rodzina z dziećmi. Mimo że bomby spadały tuż obok, stałem przed bramą, bo chciałem zobaczyć, jak ci volksdeutsche będą skakać z okien. Jak się będą palić. Chciałem mieć taką przyjemność – że zobaczą te ich dzieci skaczące w płomieniach z okien trzeciego piętra.

Straszne rzeczy pan opowiada.

Byłem chłopcem z Warszawy. Po raz pierwszy w życiu słowo „ta kurwa” usłyszałem, kiedy moja matka mówiła o pewnej słynnej warszawskiej aktorce, którą widywano, jak jeździła dorożką z esesmanami. Mówiono, że jeździła w pożydowskich futrach. Moja matka była elegancką panią i uważam, że to było delikatnie powiedziane – jak na tamte czasy. Ale wtedy, w 1943 roku, nie ponieśliśmy właściwie żadnych strat. Paliły się wszystkie domy naokoło, a my straciliśmy tylko kanarka, który przez zapomnienie został w mieszkaniu na stole – zabiła go fala gorąca, kiedy z okien wyleciały szyby. Kanarek zginął przez przypadek, bo został zapomniany, a ja żyję przez przypadek.

Ale nie przypadkiem pańska matka serwowała panu w dzieciństwie dość zaskakujące lektury, czytając ośmiolatkowi „Ojca zadżumionych”.

W tym był jakiś pomysł pedagogiczny – przypuszczam, że chciała wychować mnie na dobrego Polaka.

Coś jednak oprócz „Ojca zadżumionych” panu czytała...

Jeszcze „Anhellego” czytała. W tym też był z pewnością pomysł pedagogiczny – na tak zwanych kompletach, które odbywały się w naszym mieszkaniu, uczyłem się na pamięć różnych patriotycznych wierszyków, raczej takich sobie, i matka, która była mądrą kobietą, prawdopodobnie chciała podnieść moje wychowanie patriotyczne na nieco wyższy poziom.

Pan był wtedy dzieckiem, ale to starsze od pańskiego pokolenie, które poszło do nieba w powstaniu, wychowane było na tej samej poezji, na tym samym Słowackim, ukochanym poecie Piłsudskiego.

Oni właśnie dlatego poszli się bić, bo w szkole dowiedzieli się od Mickiewicza i Słowackiego, że Polska to jest coś, za co się umiera. Coś ważniejszego niż ich życie. To była ważna etyczna nauka i jeśli z niej zrezygnujemy i powiemy sobie, że nie ma nic ważniejszego od naszego życia, to znajdziemy się na poziomie moich kotów, które tak właśnie myślą: że nie ma nic poza ich indywidualnym życiem. Szanuję moje koty, nawet ich kocia etykę szanuję, ale myślę inaczej niż one. Gajcego i Strońskiego tak właśnie wychowano – że są sprawy, dla których trzeba zaryzykować własne życie. Jeśli zrezygnujemy z tej etyki, to nastąpi koniec cywilizacji europejskiej, która została ufundowana na cywilizacji wielu ojczyzn. Wtedy możemy sobie od razu powiedzieć: Żegnaj, Polsko, żegnaj, Europo. Pewne głosy, które odezwały się po wydaniu „Kinderszenen”, świadczą, że są teraz wśród Polaków i tacy, dla których od własnej ojczyzny ważniejsze są różne własne przyjemności – w rodzaju ciepłych kąpeli czy miłej jazdy ścieżką rowerową. Jeśli to się upowszechni, no to będzie koniec – będą ścieżki rowerowe, ale nie będzie Polski.

Trudno się dziwić, wartość ojczyzny przez ostatnie dziesięciolecia była pomniejszana na rzecz różnych wspólnot ponadnarodowych.

Ja mam takie poczucie, że właśnie teraz znaleźliśmy się na rozdrożu. Cała historia Polaków jest na rozdrożu – postawiono jej pytanie, czy ma nadal istnieć. Czy ktoś jej jeszcze potrzebuje? Ale to jest takie pytanie, na które nie nasza historia, lecz my sami musimy sobie odpowiedzieć. Kim chcemy być? Czy chcemy nadal być Polakami, czy już to nas nie interesuje? Jeśli urządzilibyśmy w tej sprawie jakieś referendum, to prawdopodobnie wielu Polaków odpowiedziałoby, że już nie chcą być Polakami i wolą istnieć jakoś inaczej. Może nawet większość tak by odpowiedziała. To byłaby ta większość, której komuniści przez pół wieku wmawiali i wreszcie skutecznie wmówili, że Polska

jest krajem małym, biednym, słabym, nic nieznaczącym i nikomu do niczego niepotrzebnym. Tyle że ludzie, którzy tak właśnie teraz myślą – że Polska jest im do niczego niepotrzebna – a takich ludzi, nie ma co się oszukiwać, jest w Polsce wielu, nawet bardzo wielu, otóż ci ludzie chyba jakoś nie do końca przemyśleli swój problem – to znaczy problem swojej przynależności. Doszli bowiem do wniosku, że niedobrze jest być Polakiem, ale pozostaje jeszcze druga część odpowiedzi, nad którą powinni się zastanowić i której muszą sobie udzielić. Bo jeśli nie chcecie być Polakami, to kim chcecie być? Co ze sobą chcecie zrobić? Dokąd chcecie pójść? Kto was przyjmie? Kto się wami zajmie i zaopiekuje? Gdzie jest ta Europa, która nie jest Europą ojczyzn? Czegoś takiego w ogóle nie ma i być nie może.

Pan w „Kinderszenen” akcentuje: „Sobą możemy być tylko u siebie”.

Tych chłopców, którzy walczyli i ginęli w powstaniu warszawskim, wychowano w przekonaniu, że Polska to jest nie tylko ważna rzecz, ale także rzecz potężna – przez to, że jest odwieczna – chrześcijańska, jagiellońska, mickiewiczowska... Że to jest coś dobrego i mocnego, coś takiego, o co można się oprzeć. Pamięta pan to hasło z roku 1939? „Nie oddamy ani guzika”. Po wojnie komuniści z wielką przyjemnością szydzili z Polaków i ośmieszali to hasło jako pyszałkowane oraz nonsensowne. Przedstawiano je nawet jako coś zawstydzającego, nawet jako jakiś dowód hańby marszałka Rydza-Śmigłego i jego oficerów. Ale to wcale nie było hasło nonsensowne. Przeciwnie – to było hasło ludzi odważnych. Niemcy żądali korytarza, potem, gdyby dostali korytarz, z pewnością zażądałoby od nas jeszcze różnych innych rzeczy. Ale dlaczego mieliśmy oddawać im korytarz, dlaczego mieliśmy im cokolwiek oddawać? „Nie oddamy ani guzika”. Czy w ogóle można było odpowiedzieć inaczej? Skończyło się, jak się skończyło, przegraliśmy tamtą wojnę, ale to przecież nie znaczy, że powinniśmy się wyrzec tego hasła. Ja proponuję tak. Może byśmy do niego wrócili i jeszcze raz, za marszałkiem Rydzem-Śmigłym, powtórzyli – Polska to jest coś, czego się nie oddaje, i nie myślcie, że coś wam z niej oddamy. Nie oddamy ani guzika.

Komu?

Nikomu niczego nie oddamy. Polacy się opamiętają i wbrew tej Europie, która koniecznie chce się zislamizować i na miejscu kościołów postawić meczety, pozostaną Polakami. To się im opłaci, bo to nie jest biedny i słaby kraj. Ja mam takie poczucie, że to jest nie byle jaki kraj, duży i całkiem nieźle urządzony. Będzie jeszcze mocniejszy, jeszcze lepiej urządzony. Idą dobre czasy. Wystarczy się rozejrzeć – ludzie całkiem nieźle tu się rządzą, nieźle potrafią korzystać z odzyskanej wolności. A przecież odzyskaliśmy ją nie z czyjejś łaski, jakiejś łaski amerykańskiej czy europejskiej. Odzyskaliśmy wolność, bo chcieliśmy ją odzyskać.

W takim planie można by się zgodzić i z innym pańskim twierdzeniem, że wolność w 1989 roku była dopiero właściwym i szczęśliwym finałem powstania’44. Ale myślę też o tym, że w „Kinderszenen” pisze pan o Niemcach tak, jak pisano o nich w pierwszych latach po wojnie. Może dlatego autorzy nieprzychylnych panu opinii przebakują o nucie rewanżyzmu w tej książce.

Jeżeli ktoś twierdzi, że moja książka namawia do jakiegoś rewanżu czy odwetu na Niemcach, to powinien zadać sobie pytanie, o to miałby być za rewanż i na kim? No chyba jakiś rewanż, odwet na naturze ludzkiej. Ale czy możemy wziąć odwet na naszej naturze? Czy możemy się jej jakoś zrewanżować? Tamta wojna rozpętała coś, co w dziwnym świetle stawia naturę ludzką, bowiem ukazuje jej fundamentalną skłonność do zachowań morderczych. Z podobnym wybuchem, podobnym ujawnieniem tej skłonności mieliśmy do czynienia niedawno na Bałkanach. Otóż moja książka pokazuje – i ja w tym duchu ją pisałem – że ta skłonność ma jakiś fundament ponadnarodowy czy pozanarodowy. Mówiąc inaczej, kiedy dwa narody zaczynają się mordować, to mordowanie to jest zawsze świadectwem nie tylko tego, że narody chętnie się mordują, ale także tego, że ludzie chętnie się mordują. Jest jakaś przyczyna, dla której to robią. Ten chłopiec, którym byłem w latach wojny, widział, że ludzie mordują się bez żadnego powodu – może tylko dlatego, że to im sprawia przyjemność. I ten chłopiec chciałby teraz wiedzieć, co to właściwie znaczyło.

Chciałem spytać jeszcze pana o kurtynę oddzielającą Polaków od Niemców u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej. Czytając w pańskiej książce rozdział jej poświęcony, wydawało mi się, że przebywam w teatrze, że tylko tego rekwizytu brakowało, by uczynić z powstania warszawskiego arcydramat narodowy.

Jest w tym pewnie jakaś próba teatralizacji historii, w historii w ogóle jest coś takiego, że ona sama z siebie się teatralizuje, nawet bez naszego udziału. Ale ja w tym rozdziale chciałem powiedzieć coś innego: że powstanie było i pozostaje piękne. Chciałem zaprotestować przeciwko takim jego interpretacjom, które mówią, że to było coś obrzydliwego, brudnego, zanurzonego w błocie. Oczywiście była w tym taka ciemna strona życia cywilnego związana z materialnymi czy higienicznymi potrzebami ludzkimi, ale w sumie w tym wszystkim, co się wówczas działo, ujawniło się piękno historii i jej wielkość. Piękno to jest coś, co nie da się uzasadnić i nie wymaga uzasadnienia – stoimy przed Wenus z Milo i wiemy, że to jest piękne, ale nie wiemy, dlaczego. Podobnie jest z pięknem ludzkiej historii. Nie udało mi się napisać rozdziału o walkach w ruinach katedry św. Jana, który miał być w „Kinderszenen”. Te walki, niezwykle zacięte, trwały wiele dni, a katedra kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Walczono o każdą nawę, o kawałek chóru. Opowieść o tym, pełna krwi i zgrozy, jest olśniewająco piękna. Muszę w tym miejscu powiedzieć coś, co się może nie bardzo spodoba: żołnierze niemieccy walczyli i tam, i w innych miejscach Starego Miasta, w Wytwórni Papierów Wartościowych, w szpitalu św. Jana Bożego bardzo dzielnie. Kiedy o nich myślimy, to pamiętamy o tym, że to byli mordercy z fabryk na Woli i ze szpitali na Starym Mieście...

Zbrodniarze od Dirlewangera i Kamińskiego.

Ale ci zbrodniarze, kiedy było trzeba, wykazywali się niemałą odwagą. Bitwa o ruiny katedry św. Jana to było widowisko krwawe i wspaniałe. Coś takiego jakby walczyły dwa lwy albo dwa tygrysy – walka dzikich zwierząt bywa przecież piękna.

O powstaniu jako zjawisku estetycznym nikt przed panem nie pisał.

Takie zjawiska estetyczne powtarzają się w naszych dziejach, ale jest tak, że raczej nie chcemy tego widzieć – nie lubimy patrzeć na historię od tej strony, bo to nas wprawia w dziwne zakłopotanie. Na przykład bitwa pod Maciejowicami była czymś nieprawdopodobnie pięknym. Jak wiadomo, zakończyła się ona naszą straszną klęską i zadecydowała, najfatalniej, o losie Polski na całe stulecie. To była wielka rzeź, wprzód rzeź artyleryjska, a potem rzeź na bagnety. Prawdziwe dzieło sztuki. Dobrze jest czasem spojrzeć na historię jak na dzieło sztuki.

Na ile na kształt pańskiej książki wywarła wpływ widoczna zmiana naszych władz państwowych wobec powstania datująca się od 60. rocznicy jego wybuchu, a na ile zaostrzenie stosunków polsko-niemieckich, głównie na skutek działalności Eriki Steinbach?

Niewątpliwie jedno i drugie jakoś przyspieszyło proces krystalizowania się „Kinderszenen”. Zmiana w widzeniu powstania warszawskiego nie dotyczy, oczywiście, tych ludzi, którzy od lat 1 sierpnia przychodzili na wojskowe Powązki. Oni powstanie widzieli zawsze tak, jak widzą je dzisiaj. Włączenie się władz państwowych do obchodów powstańczych oceniam jako coś bardzo pozytywnego. Choć nie jest też tak, że w tych obchodach, także w działalności Muzeum Powstania Warszawskiego, instytucji bardzo potrzebnej, wszystko mi się podoba. Nie podobają mi się komiksy o powstaniu, bo opowieść komiksowa, z natury rzeczy, trochę ośmiesza powagę tego wydarzenia. Nie podoba mi się wykorzystanie muzyki beatowej do upowszechniania idei powstańczych – chaotyczne wrzaski po prostu nie pasują do idei niepodległościowej, nawet ją obrażają. Średnio podobają się mi też inscenizacje walk ulicznych, ale rozumiem ich cel pedagogiczny i zastosowanie takich, a nie innych środków przemawiających najlepiej do dzieci i młodzieży. Ale jednocześnie można w ten sposób osiągnąć efekt odwrotny, można umniejszyć krwawą wielkość powstania. To jest bardzo delikatna sprawa i nie chciałbym tu niczego rozstrzygać, namawiałbym tylko do umiaru. Tak wielkie wydarzenie rozrysowane na komiksy może stać się wydarzeniem trochę mniejszym.

Ale to są rzeczy dość marginalne, a przede wszystkim trzeba uznać, że wysiłek, który podjęli dla uszanowania powstania warszawskiego bracia Kaczyńscy godny jest najwyższej pochwały. To się po prostu Polakom należało. Nie tylko AK-owcom, co jest oczywiste, ale wszystkim Polakom. To zaś, co się teraz dzieje w sferze stosunków polsko-niemieckich, miało na „Kinderszenen” wpływ raczej umiarkowany. Zawsze miałem takie poczucie, że z tymi stosunkami jest coś nie w porządku i że więcej jest w nich spraw ukrytych niż odkrytych. Ciągłe czegoś głośno nie mówiliśmy, ze strachu lub z ostrożności, ciągle chcieliśmy coś zamazać, żeby to ładnie wyglądało, a gdzieś pod spodem kłębiły się jakieś stare namiętności, które nagle zaczęły się ujawniać. Ale wraz z nimi doszła u nas do głosu, i to jest bardzo ważne, rzeczowa refleksja polska nad tymi stosunkami, którą ja bardzo wysoko oceniam. Myślę tu przede wszystkim o działalności profesora Zdzisława Krasnodębskiego i jego esejach drukowanych w „Rzeczpospolitej” – dobrze pokazujących, że pod gładką i miłą powierzchnią tak zwanych stosunków bilateralnych kryją się rzeczy groźne, takie, które, jeśli w porę nie zostaną dostrzeżone, mogą nas bardzo nieprzyjemnie zaskoczyć. Już ta Steinbach nas zaskoczyła – coś takiego jeszcze niedawno wydawało się kompletnie niemożliwe. Myślę o tej bezczelności, o tych bezczelnych kłamstwach. Trzeba też jednak przyznać, że Steinbach ma pewną zasługę, bo łącząc i kłamiąc, powiedziała nam też coś takiego: obudźcie się z waszego miłego snu i zdajcie sobie wreszcie sprawę z tego, co my, Niemcy, o was myślimy.

Trzeba się więc teraz z tego snu obudzić i odważnie sobie powiedzieć, że to nie Niemcom od nas, ale nam od Niemców wciąż się coś należy – coś, co musimy wyegzekwować. A my nie oddamy ani guzika. Trzeba to powtarzać, także ze względów pedagogicznych. Ta Steinbach pojawiła się w takiej sytuacji, gdy Polacy byli już gotowi coś oddać. Nie załatwiono spraw własnościowych w Prusach Wschodnich i na Ziemiach Zachodnich i wobec tego wyglądało na to, że w ten sposób my sami Niemców tutaj zapraszamy. Proszę, weźcie to sobie z powrotem, bo my nie jesteśmy pewni, czy to do nas należy. Onieśmieleni potęgą sąsiadów daliśmy im coś w rodzaju przyzwolenia, więc gadanina tej niemieckiej blond Walkirii właściwie nie powinna nas teraz dziwić.

Rzeczpospolita, X 2008

Jarosław Marek Rymkiewicz (ur. 1935 r.). Poeta, dramaturg, eseista, krytyk literacki, tłumacz. Debiutował w 1957 r. zbiorem wierszy „Konwencje”. Napisał m.in. „Czym jest klasycyzm”, „Juliusz Słowacki pyta o godzinę”, „Aleksander Fredro jest w złym humorze”, „Leśmian. Encyklopedia”, „Rozmowy polskie latem 1983 roku”, „Wieszanie”. Laureat literackiej nagrody Nike w 2003 r. za tom poetycki „Zachód słońca w Milanówku”. Ostatnio wydał „Kinderszenen”.

Polska w krótkich majteczkach

Z Janem Englertem rozmawia Przemysław Szubartowicz

– Jakiś czas temu powiedział pan, że po raz pierwszy w życiu zastanawia się nad emigracją...

– Mając na myśli swoje dziecko. Dla mnie jest na to za późno, zapuściłem już korzenie. Ale po raz pierwszy w życiu złapałem się na myśli, że dobrze by było, aby moje dziecko wychowywało się i żyło w normalniejszym społeczeństwie. Zmęczyła mnie niereformowalność myślenia Polaków.

– A spodziewał się pan reformowalności?

– Owszem, kiedyś tak. Ale przeliczyłem się. Najbardziej przerażająca jest powtarzalność pewnych zachowań, jakie mają miejsce od kilkuset lat: skłonność do patrzenia na świat wyłącznie przez pryzmat własnego „ja”, przerost ambicji, nieumiejętność przyznawania się do błędów etc. Powoduje to zachwianie całego porządku myślowego, a w konsekwencji chaos.

– Dlaczego akurat teraz tak silnie dotarła do pana taka refleksja?

– Ponieważ według mnie, okres docierania się młodej demokracji już się skończył. Dawno powinniśmy wyrosnąć z krótkich majteczek i stać się przynajmniej studentem, a my wciąż jesteśmy na poziomie Zosi i Krzysia, którzy przegadują się, kto wyżej nasusia na ścianę. To jest coś, co mnie wyprowadza z równowagi.

– Ma pan żal do elit, do polityków?

– To nie jest kwestia elit, wcale nie chodzi o tych słynnych polskich „onych”. Bo ci „oni”, którzy za wszystko zawsze odpowiadają, są przecież z nas. Oni są paskudni, bo my jesteśmy paskudni. To my, jak nam gównem leży na podwórku i śmierdzi, przrzucamy je przez płot do sąsiada, zamiast po prostu sprzątnąć. Otóż właśnie tego nie jesteśmy w stanie zmienić, tej mentalności.

– Mówi pan o polskości?

– Mówię o społeczeństwie. Już Norwid powiedział, że jesteśmy wspaniałym narodem, ale straszliwym społeczeństwem. Naród bywa piękny, jest niezwykle zdolny, utalentowany, bohaterski, odważny, cudowny etc. A społeczeństwo jest tragiczne. To się bierze z tej polskiej „szlacheckości”. Idea komunistyczna sprawiła, że mamy obecnie sto procent szlachty w Polsce...

(...)

– Czy rzeczywiście jest to aż tak bardzo polskie, tak specyficzne? Wierzy pan w istnienie czegoś takiego jak „gen narodowy”?

– Nie wiem, czy to jest polskie, czy nie. Tu żyję i takie mam wnioski. Z drugiej strony, gdy pomyślę sobie, że moja córka miałaby żyć w Stanach Zjednoczonych, to też robi mi się niedobrze. Wydaje mi się, że dopiero co przeżywany przez świat przełom wieków, który zawsze jest dekadencji, spowodował generalne zachwianie kryteriów, w czym i my nie bardzo potrafimy się odnaleźć. Człowiek jest tak skonstruowany, że na każdy grzech ma alibi. To nie jest polska cecha, ale w Polsce jest ona podniesiona do szóstej potęgi.

– **Nie umiemy być odpowiedzialni?**

– Nie umiemy. W życiu publicznym najbardziej denerwuje mnie usprawiedliwianie własnej niegodziwości albo czerpanie prywatnych korzyści z działania dla dobra ogółu i dla kraju. Innymi słowy, nic mnie tak nie denerwuje, jak fałszywy patriotyzm.

– **Pan deklarował się kiedyś jako patriota, stąd moje zadziwienie pańską diagnozą na temat Polski i polskiego społeczeństwa.**

– Ależ ta diagnoza wynika z mojego patriotyzmu, gdyż jest troskliwa. Wolę mówić gorzkie słowa, licząc na czyjąś refleksję, niż kłamać. Jednak, wie pan, z wiekiem przychodzi pewien sceptycyzm, który polega na tym, że tego typu krytyczne diagnozy, jakie wypowiadam, należy traktować z dystansem i nieco nawet ironicznie.

– **Ironicznie?**

– Tak, ponieważ w związku z tym nie ma we mnie żadnej zapiekłości. Próbuję analizować, szukam przyczyn, staram się ułożyć jakiś porządek. A co do patriotyzmu, to paradoks polega na tym, że ja pochodzę z takiej rodziny patriotów, których dziś uważa się za idiotów. Np. wyrastałem w micie powstania warszawskiego, a dziś uważa się je za kretynizm. Oczywiście z punktu widzenia historycznej obiektywizacji żadne polskie powstanie nie miało sensu, ale gdyby nie było tych powstań, tych narodowościowych zrywów, to kto wie, może bylibyśmy dziś Białorusią.

Pułapki demokracji – Jako twórca nieraz oddawał pan hold polskiemu romantyzmowi. W teatrze także jest pan patriotą.

– I właśnie jako hołdujący tej polskiej, romantycznej, nielogicznej myśli tym ostrzej widzę wszelkie paskudności. To jest jak z prawdziwą miłością: gdy ideał zaczyna pękać, to boli. Tylko że teatr nie jest areną polityczną.

– **Jednak czasami stawał się miejscem, gdzie aluzjom nie było końca...**

– Niechący. Niech pan pamięta, że w Polsce teatr, zresztą podobnie jak Kościół, wyskoczyły grubo ponad przypisywane im naturalnie pola działania. A to dlatego, że głównie w zaborze rosyjskim to były jedyne dwa publiczne miejsca, gdzie można było używać polskiego języka. W związku z tym i do teatru, i do Kościoła chodziło się także po to, by zmanifestować swój patriotyzm. Trwało to prawie 200 lat. I dlatego po 1989 r., po odzyskaniu wolności, obie te instytucje przeżyły kryzys, gdyż odpadła im bardzo poważna funkcja, a wręcz misja. To było dla obu tych instytucji bardzo bolesne. Jednocześnie teatr nie stracił innej ważnej roli, takiej mianowicie, że właśnie tam najwyraźniej widać, w jakim kierunku podąża w danych czasach społeczeństwo.

– **Po 1989 r. w polskim teatrze zarysował się tak naprawdę jeden zapamiętany powszechnie konflikt doktrynalny, między „brutalistami” a tradycjonalistami...**

– Od razu odpowiem, że pojawienie się tych „brutalistów” wynikało z zachłyśnięcia się wolnością. Lekceważenie wartości, zacieranie granicy między sacrum i profanum to jest właśnie efekt wymachiwania sztandarem z napisem „wolność”, która w istocie jest anarchią, bo nie uznaje ani tradycji, ani granic. Do tego doszedł świat narkotyków, który się bardzo rozprzestrzenił, wyścig szczurów, w którym uczestniczy cały świat, wreszcie gdzie indziej przeniosła się linia demarkacyjna, jeśli chodzi o ideologię. Młodym ludziom wydaje się, że jak do poniedziałku nie zrobią kariery, to już nie zrobią jej nigdy. Dlatego krzyk i szokowanie stały się obowiązującym językiem służącym do tego, żeby zaistnieć. Tylko że to także już było w historii. Zawsze po

średniowieczu jest oświecenie, które potem przeradza się w barok, rokoko, które wszystko gnoi, i zaczynamy od nowa.

– **Teraz znów zaczynamy?**

– Teraz jesteśmy w zawieszaniu. Demokracja ma bowiem jedną straszną pułapkę, taką mianowicie, że decyduje większość. A wiadomo, że więcej jest głupich niż mądrych.

– **Platonowi też nie podobała się demokracja jako ustrój najbardziej chwiejny...**

– I dlatego ja jestem zwolennikiem monarchii oświeconej, a w każdym razie w tym kierunku bym żeglował.

– **Tylko że chyba trudno byłoby obecnie o monarchę oświeconego...**

– Niestety... Już prędeż o tyrana, ale temu jestem zdecydowanie przeciwny. Jednak optymistyczne z mojego punktu widzenia jest to, że sądząc po tym, co dzieje się w teatrze, od mniej więcej dwóch, trzech lat polskie społeczeństwo powoli zwraca się w kierunku uporządkowania i jasności. W kierunku świata, w którym zło jest złem, a dobro dobrem.

– **A może to nowa jakość?**

– Nie, to jest powrót do tradycji. Zmęczyliśmy się już tą wolnoamerykanką i grzebaniem sobie palcem w oku.

– **Tym, że Hamlet przechadza się po dworcu?**

– Pan mówi o formie, a ja myślę o treści. Forma może być różna, a mnie chodzi o ekshibicjonizm myślowy, epatowanie słabościami, posypywanie solą ran i oglądanie ich z bliska, budowanie sztuki na własnych niemożnościach. W tej chwili nawet rewolucjoniści się wygładzili i także zaczynają dostrzegać konieczność rozmawiania z publicznością w łagodniejszej formie. Widza już się nie da dziś strzelić w mordę mokrą ścierką, a jeszcze dziesięć lat temu było to możliwe. Prowadząc teatr, sięgając do różnych form, widzę to bardzo wyraźnie.

– **Teatr Narodowy jest jednak dość specyficznym miejscem...**

– Teraz gram w Rozmaitościach i tam również to dostrzegam. W sztuce rewolucje się nie udają, ponieważ polegają na tym, że usiłuje się wyciąć w pień tradycję i zapomnieć o przeszłości. A to nie jest możliwe. Sztuka podlega tylko ewolucji. Oczywiście pojawienie się „brutalistów” zostawiło ślad na teatrze i na publiczności, ale nie była to jakaś trwała zmiana perspektywy.

– **Ale sam pan kiedyś mówił, że teatr potrzebuje nowej jakości i nowego języka.**

– Nieustannie potrzebuje, gdyż zmienia się społeczeństwo. A teatr zależy od widza...

Walę z łokcia

Z malarzem Franciszkiem Starowieyskim rozmawiał Dariusz Zaborek

- Mam zwyczaj, że śpiewam przez sen. W szpitalu lekarze mówią: "Panie Starowieyski, odśpiewał pan mszę po łacinie".

Skąd to u Pana?

- To momenty, gdy odbywa się wychowanie wśród sztuki religijnej. Jakaś kretyńska skłonność do patosu, wielkości, która u mnie jest przesadnie rozwinięta. Jazz mnie brzydzi, saksofon to zaraza muzyki, chamskie dźwięki. W saksofonie jest jedna rzecz: tandetny humanizm, schylenie nad ludzką dolą. Nie znoszę tej kliwkości.

Widzi pan, jak źle chodzę, w szpitalu leżałem trzy miesiące, ledwo z życiem wyszedłem. Przez tydzień znajdowałem się na granicy życia i śmierci. Wypuścili mnie po trzech miesiącach z sepsą, z jedną nogą nieczynną, ślepego na jedno oko, bo dali za dużo rozcieńczalników do krwi i w oko uderzyło. Na drugie też źle widzę. Łatwo mi rysować duże formaty, ale mniejsze wychodzą mi nieprecyzyjnie.

Czego Pan oczekuje ode mnie? Żeby Panu nie współczuł?

- Nie, nie. Znajdę moją rękę. Choć z małymi formami rzeczywiście mam problemy. Gdy chodzę po targu staroci czy antykwariacie i rozglądam się, to wszystkiego wzrokiem nie obejmuję. Jest w Stanach wielki kolekcjoner, ma piękną kolekcję impresjonistów i ma to samo co ja - ogląda obrazy o tak: kręcąc głową i okiem.

Patrzy jakby kątem oka?

- Bo część oka widzi, a część - nie. Ja też w ten sposób muszę działać.

Gdy zaczął Pan źle widzieć, czuł się Pan wściekły czy zrozpaczony?

- Gdy miałem 16 lat, ksiądz zamówił u mnie plakaciki podnoszące na duchu, jeden był pod tytułem "Człowiek dużo może, jeśli ufa sobie". Jestem twardym człowiekiem. Ludzie idą na emeryturę i siedzą, a ja - Jezus Maria - w wieku 65 lat, czyli 11 lat temu, każdą kałużę przeskakiwałem pierwszym krokiem trójskoku: z jednej nogi robi się zamach i na tę samą się pada. Zostały mi przyzwyczajenia najsilniejszego i najsprawniejszego z kolegów.

Wie pan, miałem zawody miłosne, tragedie. Gdybym nie miał, byłbym niekompletny, półczłowiek. Miałem kilka miłości, nieraz to były debilki, że diabli wiedzą, dlaczego się zadałem. A zakochuję się do granic możliwości i gdy się kończy, świat się wali.

(...)

Nie widzę u Pana leków na wierzchu.

- Starannie nakryte krople do oczu stoją na rogu stołu. I nitroglicerynka, gdyby mi się coś stało, ale schowana. Trzymanie lekarstw i przyborów toaletowych na wierzchu jest obrzydliwością.

Tak jak słowo "smacznego"? Podobno nie używa go Pan.

- Dźwiękowo to jedno z najbrzydszych słów, brzydsze tylko jest "pierdzielę", wyjątkowo ohydne, świadczące o schamieniu ostatecznym. "Smacznego" odbiera człowiekowi apetyt na wszelkie jedzenie. Jestem wychowany w domu, gdzie mówiło się po polsku z dziesiątkami cytatów łacińskich, niemieckich, francuskich. Rodzice w czasie obiadu rozmawiali po francusku.

A klócili się?

- Wyłącznie po francusku.

Czyli "smacznego" mówią tylko ludzie źle wychowani?

- Przychodził do dworu urzędnik i nie wiedział, że na obiad nie można się spóźniać, tylko przyjść wcześniej i czekać w pokoju przed jadalnią. Spóźnił się i: "Smacznego państwu", dzieci wybuchały śmiechem, za co dostawały w skórę, bo nie wolno było śmiać się z dorosłych. I tak już została niechęć do tego słowa.

15 minut przed obiadem bona wołała po francusku: "Chodźcie szybciej", i trzeba było błyskawicznie się przebrać, trwało to około minuty, a pozostałe siedzieliśmy w saloniku przed jadalnią i musiałem studiować dzieła Michała Anioła, Tycjana i wielkich architektów. Aż kamerdyner otwierał drzwi od jadalni...

Kiedy po raz pierwszy świat artystycznie Pana zachwycił?

- Z boną Niemką, panną Kamilą, jechaliśmy powozem w letni suchy dzień i żeśmy zjechali na polną drogę. Wołam: "Fraulein Kamila, niech pani spojrzy, jaka droga jest różowa". A Kamila: "Jaka to różowa droga? To zakurzona szara droga". Nawymyślałem jej, że jest ślepcem, żeby tego nie widzieć. W domu poskarżyła się matce, że jej chamsko nawymyślałem. Mama kazała mi przeprosić, ale pannie Kamili powiedziała: "On widzi więcej niż inni i ja też jako dziewczynka zastanawiałam się, czy droga nie jest różowa, ale tej myśli do siebie nie dopuściłam. Franek dopuścił i trzeba to uszanować". Następnym razem panna Kamila wytrzeszczała oczy, szukając różu (śmiech).

Do wojny uczyły was guwernantki?

- W czasie wojny też, po Niemce była Francuzka, paskudna baba. Nic nie wniosła w nasze życie, bo nigdy nie była we dworze, tylko po mieszczańskich domach, i miała mieszczańskie obyczaje, które nas raziły, to był inny świat.

Co Was raziło najbardziej?

- Nie coś. Raziło nas wszystko, cały styl: sposób chodzenia, mówienia, jedzenia, ubierania się. Widać było, że jest obca.

Potem przyszła panna Irena, młoda, ładna brunetka z dużym, pięknym cycem. Z nią najwięcej nauczyłem się wierszy i do dziś dnia pamiętam wspaniałe poemat Kornela Ujejskiego "Maraton".

Proszę powiedzieć.

- To będzie fragment, jak Persowie nadciągają i Milicjades podtrzymuje ducha Ateńczyków:

"A my w zwycięstwie, my w zwycięstwie razem.
Wytępić wroga tym żelazem.
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko laurów wieniec
Lub bladeść trupia, nie wstydu rumieniec".

W stanie wojennym zrobiłem z tym wierszem kilkadziesiąt ulotek piękną czcionką na pięknym papierze i rozkleiłem w okolicy mojego wieżowca. Następnego dnia nie było ani jednej, ludzie je starannie wycięli. Poezja to koło ratunkowe na ciężkie chwile.

Największą nagrodą w dzieciństwie był czas spędzony z mamą?

- Tak, ustalała: "Jutro jest dzień brata, a dziś - twój". Na co dzień był mały kontakt. Mama mówiła mojej żonie, gdy się nasz syn urodził: "Żałuję, że swoich dzieci nie pieściłam, nie całowałam po pupce, ale nie było tego obyczaju". Była niesłuchanie wykształcona, teraz dziewczyny są strasznie niedouczzone. Zrobiłem test na stu kobietach z wyższym wykształceniem i zadałem dwa pytania: ile waży centymetr sześcienny wody? Na sto kobiet wie pan, ile mi odpowiedziało? Trzy, jedna była docentem farmacji, więc musiała wiedzieć. Drugie pytanie było o świadomość europejską: kiedy żył Karol Wielki? Wie pan, jak go umieszczają: XI, XII wiek, a tylko cztery czy pięć odpowiedziało, że VIII na IX wiek. Te same dwa pytania zadane mężczyznom ze średnim wykształceniem - 28 wiedziało z wodą, ale Karola Wielkiego znali prawie wszyscy, i mechanik samochodowy, i robotnicy.

Jak Pan dobierał ludzi do testu?

- Tak różnych pytałem. Kobiety mówiły, że zajrzą do encyklopedii. A człowiek musi mieć świadomość: że piaskowiec jest średnio dwa i pół razy cięższy od wody, a złoto - 19. Synom najpierw dałem tabelę systemu dziesiętnego, a potem mieli określić wyporność statku wojennego i błędy nie przekraczały 15 procent. Dziesięciolatkom takie wiadomości są potrzebne. Humanista musi wiedzieć, pod jakim ciśnieniem woda przestaje być płynem, a zaczyna być parą. Co to napięcie, natężenie, wiadomości, które dają przyjemność patrzenia na pioruny.

Ale po co ma to wiedzieć?

- Żeby mieć świadomość świata. Musi znać chronologię królów, żeby była możliwa rozmowa. Przykładem kraju doskonałego są Niemcy do pierwszej wojny. Jest salon, wszystko obite welurem i zasłony z frędzlami. Siedzi towarzystwo i jeden mówi: "Ja sędzę", drugi: "Ja myślę, że tak". Właściciel sięga do biblioteki, gdzie jest kilkadziesiąt tomów, i mówi: "W rzeczywistości jest tak", a zza kotary dobiega: "Tru, tu, tu..." - III Symfonia Brahmsa. I tu jest ten doskonały świat.

Gdy wybuchła wojna, miał Pan dziewięć lat.

- Po 17 września, nim bolszewicy doszli do naszego dworu w Bratkówce, myśmy samochodem uciekli do Łaszczowa w Lubelskiem, do stryja Stanisława Starowieyskiego, który jest świętym, został beatyfikowany, zginął w Dachau. Bolszewicy zabrali wtedy stryja razem z ojcem z majątku w Łaszczowie. Ojciec ze stryjem się rozdzielili i więcej ześmy ich nie widzieli. Z roku na rok zwiększała się świadomość, że ojciec nie żyje. Ale wojnę przeszedłem sielsko, dworskie życie jak przed wojną, trochę biedniej, bo się paczki do obozów jenieckich wysyłało i masę uciekinierów u nas mieszało, więc nie było to luźne dworskie życie, a jednak sielskie.

(...)

W liceum w Krakowie trudno było mi się przyzwyczaić do miasta i do dziś dnia na wsi wiem wszystko, a w mieście - nie. Mieszkałem u jezuitów, ich dyscyplina mnie gnębiła i mnie wyrzucili.

Co Pan przeskrobał?

- Złościło ich, że nie chciałem chodzić na msze do ich kaplicy, ale była tak paskudna, że przeorowi powiedziałem: "Jak Bóg może w takim paskudztwie zamieszkać?". On: "Bóg jest wszędzie". A ja: "Tu może małym palcem dotknął, a w kościele Mariackim obiema rękami, nogami i wszystkim". Najchętniej na mszę wybierałem kościół św. Anny, ze względów towarzyskich, bo tam chodziło ziemiaństwo krakowskie, a w Mariackim był cudowny nastrój.

Zaczęły się czasy stalinowskie, byłem po maturze, trzech bracia zjeżdżaliśmy do matki na Boże Narodzenie i mówiłem: "Mamo, z naszym nazwiskiem my się na studia nie dostaniemy". A mama: "To co trzeba zrobić?". A ja: "Na pewno ten się dostanie, który zda z pierwszą lokatą". "A więc, moje dzieci, jaki problem?".

Mój brat, ksiądz Marek, zdał egzamin na filologię klasyczną tak, że został przyjęty na drugi rok. A ja pierwszego dnia miałem rysunek z natury, to sobie dałem radę i poprosiłem o cztery arkusze papieru, bo się nie zmieszczę, i zrobiłem stylistyczny dziwoląg futurystyczno-socrealistyczny "Robotnik przechodzi w sferę szczęścia" (śmiej). Obraz według wszystkich możliwych przepisów naszych dziwnych teoretyków sztuki. Zrobiło się wielkie zbiegowisko profesorów i zdałem z pierwszą lokatą.

To była Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych?

- Był tam Tadeusz Kantor. Młody, gniewny profesor wygłaszający dziwne teorie: "Jak ktoś jest idiotą, to będzie malował lwa włoską po włosku". Zachwycały nas takie powiedzonka. Na pierwszym roku Kantor wypatrzył moje rysunki, a była coroczna nagroda za rysunek, i ja, student pierwszego roku, dostałem główną nagrodę. I Kantor zaprosił mnie na przyjęcie. Pamiętam, przysłuchiwałem się dyskusjom, dużo się piło i nagle skończyły się papierosy. Wszyscy szukają, może są na szafie? Skakałem najwyżej, podskoczyłem cztery metry: leżały na brzegu szafy do połowy wypalone. Ależ była wielka radość, że znalazłem papierosy. Po przyjęciu wracałem do domu akademickiego i czułem się taki ważny.

Czego nauczył Pana Kantor?

- Nie byłem uczniem Kantora, ale nauczył mnie tej wolności abstrakcyjnej. Że zacząłem mieć zobowiązanie do wolności. Potem przenieśli mnie na ASP, na malarstwo do Wojciecha Weissa.

Bo w 1950 roku Kantora wyrzucili z uczelni?

- Kantor inaczej przedstawiał socrealizm niż oficjalna wersja, co było rzeczą nie do pojęcia dla tych prostaków. A to miało być realistyczne w formie i socjalistyczne w treści. Wojciech Weiss, który całe życie malował kwiaty, zrobił wtedy obraz "Manifest", za który dostał główną nagrodę na pierwszej ogólnopolskiej wystawie plastyki, na którym kilku robotników stoi z flagami. Wybrał modeli z akademii, leniuchy, którym się nie chciało pracować, to za modela szli i takich parę mord stoi tam z flagami czerwonymi.

Pana pseudonim Jan Byk był dostosowaniem się do epoki?

- To była moja zabawa. Profesor teorii marksizmu Adam Polewka zawsze mi przygadywał po nazwisku. I pewnego dnia podpisałem pracę: Jan Byk. Polewka mówi: „Wszyscy napisali jak z

pierwszej strony »Trybuny Ludu«, nudne to, tylko jeden student, Jan Byk, napisał ciekawe rzeczy. Który to?». Na to klasa: „Cha, cha, to Starowieyski zmienił nazwisko”. Bo kolegom powiedziałem, że w Radzie Narodowej zmieniłem. Adam Polewka był świetnym wykładowcą, ale też posłem lewicowym, wpływową postacią Krakowa, poleciał do ratusza, że pod plebejskim nazwiskiem ukrywa się wróg klasowy (śmiech). Usłyszał: „Nic takiego nie ma miejsca”. Polewka, widząc mnie, rozłożył ręce: „Drogi panie Starowieyski, gratuluje”. „Czego mi pan gratuluje?”. „Pierwszy człowiek, któremu się udało konia ze mnie zrobić (śmiech). Miał poczucie humoru i cieszył się, że dowcip się udał.

W Krakowie na dworcach lubiłem rysować zagonionych podróżnych. A wieczorem na Kazimierzu nie było dużo ludzi i bruk błyszczał w świetle latarni gazowych, co tworzyło piękny pejzaż. Na ulicy Brzozowej była synagoga. Wieczorem wychodził rabin w stroju ceremonialnym, z lisią czapą, białymi skarpetkami, i widzę, coraz mniej ludzi, aż któregoś wieczoru wraca sam. Beznadziejny smutek wiał z tego człowieka, podszedłem, nie wiedziałem, jak mówić: proszę pana, proszę księdza czy rebe, jakąś formę dziwaczną znalazłem i zaprosił mnie do domu. Na UJ zrobił doktorat, bardzo wykształcony człowiek, powiedział: "To teraz zrzucamy z siebie teatr", i zrzucił szaty. Pytam: "A co się stało z pańskimi ludźmi?". "Trochę wyjechało do Izraela, trochę się rozproszyło, a najwięcej skurwysynów wstąpiło do partii". Jedyne raz powiedział coś takiego, bo od czasu do czasu zachodziłem do niego, w biedzie żył, ale zawsze u niego herbatkę wypilem i zrobiłem rysunek jego twarzy. Ktoś pojechał do Izraela i mówi: "Z muzeum w Tel Awiwie przywożę twój rysunek, sprzedają go jako reprodukcję typowego rabina".

Ale w Krakowie na studiach nic się nie działo i w 1952 roku przenieśliśmy się na ASP do Warszawy.

Czy od profesorów nie dostawaliście sugestii, żeby opiewać socjalizm?

- Profesorowie patrzyli, żeby posady nie stracić. Jeden profesor zrobił akt ze szturmówką, co było pornograficzną komedią: stoi taka młoda, naładowana rzepa i trzyma czerwoną flagę.

Na jakąś wystawę ogólnopolską namalowałem dzika biegnącego przez zaśnieżony las, bo takiego zobaczyłem i strasznie mi się spodobał. To było traktowane jako obserwacja polskiej natury i było dopuszczalne w szerokim wachlarzu socrealizmu. Ale już dama wylegująca - nie. Jak ktoś chciał malować akt, to malował obraz "Robotnice w łaźni po nocnej zmianie" (śmiech).

Po przyjeździe z Krakowa najbardziej lubiłem w Warszawie rozmach i dynamikę, to: "Na prawo most, na lewo most, a dołem Wisła płynie. Tu rośnie dom, tam rośnie dom, z godziny na godzinę". Dzisiaj to się kojarzy z przodownikami pracy, ale wówczas imponowało rozmiarami. Ale Warszawa była strasznie plebejska. (...)

W 1955 roku pracował Pan w Komitecie Dekorującym Warszawę na festiwal młodzieży.

- To był olbrzymi festiwal młodzieży ze świata, projektowałem dekoracje. Już po maturze, w 1948 roku, gdy powstał Związek Młodzieży Polskiej, trafiłem na ochotnika do Brygady Służby Polsce. Budowałem linie komunikacyjne do zagłębia miedziowego koło Złotoryi. Byłem przewodniczącym ZMP w brygadzie.

Chłopaka z wiejskiej rodziny pociągnęły hasła socjalizmu?

- Zdawałem sobie sprawę, że obojętnie, czy Kocham socjalizm, czy nie, ale Polskę trzeba odbudować. Wszyscy w rodzinie się ze mnie śmiali, że pracuję w takiej organizacji, w dodatku na ochotnika.

Podobało się Panu?

- Mnie by się podobało, gdyby nie cholerny brak fachowości majstrów, którzy tam pracowali.

W ZMP byłem do 1953 roku, gdy na walnym zebraniu na ASP oddałem legitymację, mówiąc, że organizacja młodzieżowa przestała być młodzieżową, a stała się biurokratyczną i szpiclowską. Sala pełna, ci z zarządu mówią: "Kolego, nie ma żadnego oddawania, wyrzucamy kolegę z ZMP". Mówię: "Nikt mnie nie będzie wyrzucał, macie legitymację". Chcieli mnie zepchnąć z trybuny, a ja: "Żaden z was tego nie da rady zrobić, jestem ciutką za mocny, a czterech pozostałych najmocniejszych jest po mojej stronie". Popatrzyłem na nich, a te osiłki zaczęły mi bić brawo. W tym momencie zjawili się dwóch młodych ludzi z Zarządu Głównego ZMP, szef i zastępca - potem obaj porobili kariery, zajmowali najwyższe stanowiska państwowe - i mnie poparli. Poszli ze mną na wino zamiast na ubecję.

Żadnych konsekwencji?

- Nie, poparło mnie dwóch takich, którzy powiedzieli, że trzeba zreformować ZMP. Byłem pierwszym, który rozpoczął zwyczaj oddawania legitymacji, ale nikt w historii politycznej Polski o tym nie wspominał.

W PZPR Pan był?

- Nie, nie, nie. Wszyscy byli fałszywi od początku do końca, mówili to, w co nie wierzyli, a prywatnie rozmawiali o innych rzeczach. Na pogrzebie Stalina nieśli szturmówki z czarnymi opaskami i płakali, a równocześnie w pracowni mówili: "Stój Halina". (...) To było strasznie przykre, z jednej strony z tym wszystkim nie chcieliśmy mieć do czynienia, a mówiło się jedno, robiło się drugie, co innego było sekretne życie, a co innego publiczne. Dzisiaj kłóca się jak idioci, ale bez fałszu.

Nie było widać, że wszystko jest podwójne?

- To nie było takie czytelne, jak panu się zdaje. Z dzisiejszego punktu widzenia to kompletnie co innego. Dowcipy, duch współzawodnictwa w kopalni, filozofia materialistyczna, odzieranie życia z tajemnicy - to dla środowisk artystycznych było trudne.

W 1957 roku dostałem pierwsze mieszkanie - barak na Saskiej Kępie. BWA miało tam magazyn, potem ktoś z plastyków tam mieszkał. Baraczek był przyjemny, w piecu się paliło i na piecu grzało się wodę do kąpieli. Miałem 27 lat, mieszkanie, nie chciało mi się samemu sprzątać i ożeniłem się z Ewą, scenografem, myśmy dla telewizji dużo robili i przychodziło do nas kupę świetnych ludzi. Jednego dnia był Bardini, facet ponad sto kilo, i siedział na krześle, a następnego dnia przyszła Ida Kamińska, słynna żydowska aktorka. I to krzesło pod nią, malutką, chudziutką, się rozleciało. Potem wpadł mój brat - telefonu nie mieliśmy i był system wpadany, człowiek zawsze musiał być gotowy, że ktoś wpadnie - i wpadł mój brat, profesor politechniki na chemii, i mówi: "Słuchaj, Franku, Bardini jest twojego wzrostu i miał w związku z tym sześć punktów podparcia: cztery nogi krzesła i dwie własne stopy. Pani Kamińska jest dużo mniejsza, miała tylko cztery punkty podparcia, bo jej nogi są krótsze, więc jak się ruszała, krzesło musiało się rozlecieć (śmiejch).

Wtedy tam już zacząłem kolekcjonować pierwsze zbiory: starodruki, pocztówki, okładki od nut.

W 1959 roku miał Pan pierwszą wystawę w Kordegardzie.

- I sukces, latali mnie oglądać, znany byłem trochę jako ten od plakatów, ale wszyscy byli

zdziwieni, że coś robię. Moje rysunki były inspirowane Klee i Steinbergiem, ale lepsze. Bo Klee zawsze temat uciekał i leciał w abstrakcję, która była nudna. A Steinberg dopiero pod koniec życia zaczął malować i od razu szedł w dowcip. Jako malarz nie zrobił kariery, ale bardzo go cenię.

Powiedział Pan kiedyś, że wyjazdy za granicę bardziej Panu szkodziły, niż inspirowały.

- Bo łapałem mody po wierzchu. W 1965 czy 1966 roku po raz pierwszy wyjechałem robić scenografię w Wiedniu. Ale zasadniczo nie wyjeżdżałem, paszportu mi nie dawali ze względu na nazwisko i z ważnych powodów politycznych. Krążyły koło mnie afery, z którymi nie miałem nic wspólnego. Chodziło o morderstwo na synu Piaseckiego, że coś mogłem wiedzieć. Idiocyzm, dziesiątki razy byłem wzywany na przesłuchania. W telefonie miałem podsłuch i słyszało się: "Tuk...tuk...", jak chodziło w słuchawce. Opowiem panu anegdotę: dzwoni telefon, odebrała żona. "Proszę powiedzieć mężowi, że Zdzichu dzwoni". Teresa się odwraca: "Franek, UB do ciebie". A on: "Wygadał się pan przed żoną, że będę pod takim pseudonimem?". Mówię: "Proszę pana, nie potrzebowalem się wygadać, w najszerszym kręgu moich znajomych nie ma nikogo, kto by miał imię Zdzichu" (śmiej).

Co z tych idiotyzmów podczas przesłuchań Pan zapamiętał?

- "Nooo, Marek Hłasko nie jest człowiekiem popieranym przez ustrój socjalistyczny. A dlaczego pan napisał, że pana plakat był namalowany pędzlem do golenia Marka Hłaski?" (śmiej). Mówię: "Bo go namalowałem pędzlem do golenia Marka Hłaski". "Ale my go nie popieramy". To były tak idiotyczne rozmowy.

Na wernisażu w Muzeum Narodowym w Poznaniu w 1970 roku wystawiłem plakat z płaczącym gołąbkim na Węgry '56 i kazałem wszystkim, którzy mi przynosili kwiaty, żeby je kładli pod plakatem. To się ubekom z niczym nie skojarzyło. (...)

Wie pan, ja nigdy nie byłem w opozycji, żadnych listów nie podpisywałem, bo ludzi z opozycji nie lubiłem, byli nudni i sztywni. Potem Kuroń trochę się rozweselił. Strasznie nie lubię sztywniaków.

Gdy się o coś walczy, bywa się też poważnym.

- Piłsudski też był poważny i też siedział, a nie miał charakteru nudziarza. A dlaczego Wałęsa wyszedł do przodu? Bo w gronie nudziarzy był radosnym człowiekiem. Nie ujmuję ich znaczenia i zasług, tylko z nudnymi i sztywnymi nie potrafiłem mieć nic wspólnego.

Ja zawsze bardzo cenię wszystkie ruchy nacjonalistyczne.

Dlaczego?

- Chronią kulturę, cywilizację, dają poczucie świadomości i siłę.

Kojarzą się jak najgorzej.

- Bo zostały do nich podklejane kretyńskie filozofie. Ruchy narodowe nie mają żadnego sensownego przywódcy, ideologa.

Powiem panu, że pluje się na tych skinheadów, ale jak we Wrocławiu była powódź, że pół miasta miało zalać, to się wszystkie skinheady z okolicy zeszyły. Pracowali dzień i noc, nie żądali jedzenia i uratowali miasto przed zalaniem.

Ale chyba głównie pracowali nieskinheadzi?

- Akurat tam była grupa nacjonalistów, porządnych nacjonalistów. Zawsze jestem po stronie nacjonalistów, a nie po stronie rozmemłanych intelektualistów.

Całe szczęście, że nie ma tych nacjonalistów wielu, bo dopiero byśmy mieli agresję i siłę wykorzystywaną przeciwko innym.

- Jeżeli jest odpowiednio sterowana...

...to nic dobrego nie może przynieść.

- Może przynieść piękną formę patriotyzmu, czego teraz nie udaje się zrobić.

(...)

30 lat temu wprowadził się Pan do mieszkania na 12. piętrze wieżowca, w którym jesteśmy. A przecież to Le Corbusier, twórca blokowisk, którego Pan stawia na równi z Hitlerem i Stalinem, skazał miliony ludzi na wygnanie z ich domów. Gdzie tu piękno formy?

- Proszę pana, nie było wyboru, to jedyne mogłem dostać. Kupiłem je od państwa za 900 tysięcy złotych. Pierwszą ratę zapłaciłem 300 tysięcy, a ostatnia, po przeliczeniu zdewaluowanych złotych, to było 50 dolarów.

I od razu na swoim wieżowcu wywiesił Pan gigantyczną czaszkę?

- To był protest przeciwko nieskończeniu naszego osiedla, domy były nieotynkowane i paskudnie wyglądały. Czaszka była wielkości pięć metrów na pięć. Gdy ją wywiesiłem za oknami, przyjeżdżali dziennikarze, w mieście była sensacja. Pytam dziennikarkę: "A z czym się pani ta czaszka kojarzy?". A ona: "Jak to z czym, ze Statuą Wolności". Kioskarka lubiła tę czaszkę, bo ludzie przyjeżdżali popatrzeć, brakło im papierosów i szli do kiosku kupować.

Dom otynkowali?

- Tak, ale miałem proces za tę czaszkę: administracja osiedla przeciwko mnie. Źe niszczę budynek. To była rzeźba z włókna szklanego, ważyła około 400 kilogramów.

(...)

Opowiadał Pan o eksperymencie ze stu kobietami i mężczyznami i podkreśla Pan, że kobiety są głupsze od mężczyzn. Tym samym stawia się Pan w rzędzie ludzi, którzy w XIX wieku wyznawali pogląd, że kobiety nie mogą studiować, bo mają mniejsze mózgi.

- I do dziś dnia tak jest, że one się wykształcą na fachowców, ale nic więcej. Nigdy kobieta nie będzie humanistką.

W tej chwili widać, że kobiety potrafią być lepsze od facetów w każdej dziedzinie.

- Ma pan wyniki w szkołach, które są w 80 procentach opanowane przez kobiety. Jest tragicznie. Żadnego porządnego obrazu kobieta nie namalowała, ważnej symfonii nie napisała, żadnego systemu filozoficznego nie stworzyła. Zawsze były królowe Wiktorie czy Elżbiety, które rade rządzić. Ale kobieta lepiej umie wziąć informację od mężczyzny, bo każdy mężczyzna chce mieć

swoje informacje, światopogląd.

Mam wrażenie, że telewizje całego świata wycięłyby Pana poglądy.

- I kupę moich wypowiedzi zawsze wycinają. "Etiam si omnes, ego non" - "jeśli nawet wszyscy, to ja nie". Bo nie zawsze większość ma rację, przeważnie jeden ma rację. Istnieje poprawność polityczna, a po drugie jest jakiś kretyński demokratyzm.

To chyba najlepsze, co człowiek osiągnął?

- Przyzwoite wykształcenie więcej by dało.

Coraz więcej ludzi jest wykształconych.

- Z tytułami naukowymi, a nie wykształconych. To różnica. Opowiadałem panu przecież, jak moja matka poszła do szpitala.

No, ale mamie też nie udało się skończyć szkoły podstawowej.

- Nie, nie udało się, Jezus Maria, pan zupełnie innymi kategoriami myśli. Po co? Jak z domu miała całą naukę. Znała pięć języków i można było z mamą na każdy temat rozmawiać.

(...)

Dlaczego w 1998 roku rozpętała się burza wokół Pana obrazu, który zawisł w przedstawicielstwie RP przy Unii Europejskiej w Brukseli?

- Pełny tytuł był "Divina Polonia Rapta Per Europa Profana", znaczy: "Święta Polska porwana przez świecką Europę". I już to nie wszystkim pasowało, jak i to, że są dwie gołe panie, solidnie zbudowane kobiety.

Chyba nie całkiem serio, ale ironicznie narysował Pan Polskę w aureoli?

- Ironicznie? Przecież mówiłem panu, że jestem nacjonalistą polskim. Divina Polonia - rozumie pan - święta Polska. Żadnej ironii w tym nie było, jestem wrogiem ironii, bo to metoda nie fair.

Ale ta nasza świętość, misja i aureola chyba nikomu w Europie nie jest potrzebna?

- Na granicy polsko-niemieckiej są gigantyczne targi warzywne. Rolnicy dbają, żeby to były prawdziwe warzywa, jedni kontrolują drugich, czy za dużo pestycydów nie wylewają na pola. I Niemcy kupują, bo u nich już tej żywności nie ma. Jeszcze ta "Divina Polonia" w wielu miejscach istnieje. Coś z tej świętości zostało.

(...)

Gazeta Wyborcza, styczeń 2007

Komentarz:

23 lutego A.D. 2009 w Warszawie w wieku 79 lat Franciszek Starowieyski zmarł.

Cześć Jego Pamięci!

Adam Doboszyński Wielki Naród

Kiedyś, kiedy miałem bardzo dużo wolnego czasu, przeczytałem historię starożytnego Rzymu, napisaną przez Mommsena. Książka ta zawiera dzieje lat tysiąca. Co przede wszystkim w niej uderza, to bezmiar państw, ludów, szczepów, narodów, które pojawiają się i znikają na kartach historii rzymskiej, czy to wchłonięte i zasymilowane przez naród rzymski, czy też zaginione, umarłe. Dziesiątki, setki nazw, stolic, ustrojów, dyktatur, królestw, republik. A z tego bezmiaru efemeryd wyłania się, poczęty z jednego miasta i jego najbliższej okolicy, rozrastający się na Latium, na Półwysep Apeniński, na całe obecne Włochy, wreszcie na basen Morza Śródziemnego - naród rzymski. Tak jest - naród. Wielki naród.

Historia jego powstania może służyć za przykład powstawania wielkich narodów. Narodów takich, jak: Francja, Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone, Rosja. Z jednego szczepu, z jednego ludu biorą się narody małe. Wielkie narody narastają przez stop pokrewnych sobie ludów. Budują swą jednolitość żmudnie, przewyższając różnice w mowie i obyczaju, przemagają siły odśrodkowe i prądy separatystyczne. Wielki naród ma zawsze odłamy, które obok mowy oficjalnej używają jeszcze ciągle narzecza, będącego mową wrogiego sąsiada. Wielki naród jest zawsze w okresie przyswajania, rozszerzania się. Gdy te procesy zanikną, gdy ustabilizuje się ludność, naród zaczyna obumierać. Jego żywotność kończy się. A wraz z żywotnością kończy się wielkość.

Na przykład Francja. Zrasta się z niezliczonych, jakże różnorodnych składników celtyckich, germańskich, romańskich, baskijskich. Jeszcze w połowie obecnego tysiąclecia dzieli się na dwa wyraźne odłamy - langue d'oc i langue d'oïl. Langue d'oïl, język okolic Paryża, zwycięża, ale jego rywal, langue d'oc jeszcze w naszych czasach wydał wielkiego poetę: Mistrala. Żyją jeszcze języki: bretoński, baskijski i kataloński w Pirenejach, włoski w Sabaudii i Nicei, niemiecki w Alzacji. Nawet nazwa Francji jest przypadkowa. Asymilacja Alzacji - kooptacja Niemców do narodu francuskiego - zaczęła się za Ludwika XIV. Okres to niedługi, a jednak wystarczył, by w czasie ponownej przynależności Alzacji do Rzeszy Niemieckiej, połowa przynajmniej jej ludności - mówiącej nadal po niemiecku - wyrwała się z powrotem do Francji.

Podobnie złożony jest naród angielski. W podłoże prehistorycznych tubylców wrosli Celtowie, w nich Anglosasi, w nich Normanowie. Jeszcze parę wieków temu naród szkocki był pod każdym względem odrębny od angielskiego, miał własnych królów, mowę i obyczaj i wojował bez przerwy z Anglikami. Dziś narody te się zespoliły (1). Element anglosaski, nie znajdując dalszej pożywki na swej wyspie, przeniósł się na inny kontynent, i dziś, przyswajając inne odłamy białej rasy, tworzy naród zwący się USA, będący właściwie przedłożeniem narodu angielskiego. Nie wątpię, że w czasie dalszego scalania się wielkich narodów, narody angielski i amerykański dojdą do uznania swej jedności, podobnie jak wydaje się możliwe rozszerzenie granic narodu niemieckiego jeszcze o narody skandynawskie, o Flamandów i Holendrów. Różnica w mowie między Fryzem a Tyrolczykiem jest niewątpliwie większa niż między Kaszubem a Huculem. Mimo to naród niemiecki zrósł się w imponującą jedność i żywotność swą objawia sięgając coraz dalej.

Moskwa? Scalila się na pniu wielkoruskim z rozlicznych plemion mongolskich, z Tatarów, Kirgizów, Jakutów. Polska? W epoce Piastów tworzył się mały naród, jednolity etnicznie. Za Jagiellonów zaczął narastać wielki naród, zwany Rzeczypospolitą, podobnie jak dziś narastają nowe narody o dziwnych nazwach - Stanów Zjednoczonych, Jugosławii, ZSRR

Dzieje narastania Rzeczypospolitej. W chwili, gdy Mieszko Stary i Chrobry tworzyli swe państwo, od Łaby po Morze Czarne i w dół po Dunaj rozciągało się morze Słowian, złożone z niezliczonych drobnych plemion. Podróżny, chcący jechać np. z Pragi do Kijowa, nie natknąłby się nigdzie na wyraźną granicę językową, ale co parę mil, o ile byłby bardzo bystrym obserwatorem, dostrzegłby drobne różnice w wymowie, które zsumowane na przestrzeni dwu tysięcy kilometrów dałyby ogromną już różnicę między narzeczem Pragi a Kijowa. Oczywiście można było wyodrębnić dwie wielkie rodziny narzeczy - zachodnio i wschodniosłowiańskich, ale wyraźnej granicy nie było, i Chrobry, wykrawając mieczem w równinie słowiańskiej swe państwo, nie miał

innych danych pokąd je zakreslić, jak siłę i rozmach ramienia. Przeciwności dynastyczne i religijne przyczyniały się, do końca epoki piastowskiej, do pogłębiania różnic między Słowiańszczyzną wschodnią i zachodnią. Od Kazimierza Wielkiego i Jagiełły różnice te słabną. Początkowo wydaje się, że powstanie wielki naród łączący

Polskę i Litwę z całą Rusią południową (2). Niestety Chmielnicki oddziela od Rzeczypospolitej połowę Ukrainy i oddaje ją na tworzywo wielkiego narodu - rosyjskiego.

Mówi się u nas dużo o tzw. idei jagiellońskiej. Jagiellonowie nie wiedzieli o jej istnieniu - takie na pozór paradoksalne twierdzenie wysunął ostatnio jeden z polskich historyków, nie pamiętam czy Konopczyński, czy Kolankowski. Twierdzenie kapitalne. Wielkie procesy historyczne dokonują się rękoma jednostek, które często nie zdają sobie sprawy ze swej roli. Naród francuski mozolnie klecili jego królowie. Niewielu z nich zdawało sobie sprawę z faktu, że całkują nie tylko królestwo, ale i naród. Ich podboje wynikały z chęci powiększenia posiadłości i dochodów, z przyczyn politycznych i strategicznych. A tymczasem życie szło swym torem i kształtowało naród. Po włączeniu do Francji Bretończyków, Basków, Katalończyków, Alzaczyców zaczynał się od razu proces asymilacji duchowej, którego wytworem jest wielki naród francuski.

W ostatnich latach szermowano ideą jagiellońską chcąc uzasadnić koncepcje tzw. „państwowe”, koncepcje Rzeczypospolitej jako zlepka mechanicznego obywateli, uważających się za synów paru różnych narodów a złączonych jedynie uczuciem lojalności wobec wspólnego państwa. Miało to być państwo międzynarodowe w rodzaju nieboszczki Austrii, ale Austrii pozbawionej więzi dynastycznej, która stanowiła niewątpliwie jej główną przynętę. Takiej sztucznej koncepcji miała dać rumieńce życia właśnie idea jagiellońska. Rzeczpospolita Jagiellonów - zdaniem niektórych - to był niejako zajazd, w którym miało mieszkać obok siebie parę narodów, nie poświęcając niczego z swej odrębności, w zupełnej swobodzie konserwując swe narodowe oblicza, mowy i obyczaje. Wiązać je miało jedynie uczucie wierności dla tej Rzeczypospolitej, która była właściwie tylko szyldem i tarczą, chroniącą na zewnątrz to dziwne zbiorowisko narodów.

Powiem z góry, że zdaniem moim takie rozumienie idei jagiellońskiej jest z gruntu fałszywe. Ideę tę możemy określić tylko po skutkach, jakie wywarła unia polsko-litewsko-ruska i dwa wieki panowania Jagiellonów. Otóż co do oceny tych skutków nie może być wątpliwości: to nie było współzycie narodów pod jednym dachem, to był proces powstawania wielkiego narodu. Proces bardzo daleko posunięty w chwili rozbioru Rzeczypospolitej.

Rzeczpospolita jagiellońska, to narastanie wspólnego narodu polsko-litewsko-ruskiego, z obyczajem, prawem, kulturą i urządzeniami, na których rozwój składały się w swobodnym współzyciu wszystkie trzy jednoczące się ludy. Gdyby rozbiory nie były tragicznie przerwały tego procesu, wielki naród, jednoczący w sobie wszystkie elementy, zamieszkałe od Gdańska i Połagi po Morze Czarne, byłby dziś faktem, który ciążyłby niezmiernie - i zbawiennie - na losach świata.

Powyższe twierdzenie można by bardzo łatwo i efektownie udowodnić przy pomocy statystyk, wykresów, monografii. Niestety trzeba by do tego rozległych badań, do których przeprowadzenia nie ma obecnie możliwości. Źle się stało, że nie przeprowadzono tych badań dawniej, ale przyjdzie czas, że się je wykona. Dziś muszę prosić czytelnika, by się zadowolił paroma argumentami, podanymi w formie nienaukowej, które może uzupełnić własnymi spostrzeżeniami i przemyśleniami oraz wspomnieniami natury osobistej.

Oto jedno z moich wspomnień: w lecie 1928 roku, będąc w czynnej służbie wojskowej po ukończeniu podchorążówki, spędziłem dwa miesiące na granicy bolszewickiej, o dwie mile od Stołpców, głęboko w lasach radziwiłłowskich. Jadąc na tak zapadłe Kresy, wyobrażałem sobie, że zastanę tam jednolitą masę białoruską, jednolicie obcą Rzeczypospolitej. Jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłem, że co druga wieś w tych stronach to zaścianek szlachecki, mówiący piękną gwarą polsko-białoruską, gorąco patriotyczny i ofiarny. Za to wieś, w której kwaterowaliśmy, Mikołajewszczyzna, była zajadłe białoruska i zażywała w całej okolicy jak najgorszej reputacji. Parobcy z tej wsi uciekali z reguły przed wcieleniem do wojska polskiego na tamtą stronę. Znany komunistyczny poeta białoruski Mickiewicz, żyjący w Mińsku, pochodził z tej wsi. Kilku członków białoruskiego rządu sowieckiego również stąd się wywodziło. Na rok przed naszym przybyciem ucięto w tej wsi głowę - dosłownie - wywiadowcy policyjnemu i zanesiono na

drugą stronę, bo tam wyznaczona na nią była nagroda stu rubli w złocie.

Jednym słowem zła reputacja tej wsi była w pełni zasłużona. Toteż nie pozwolono nam kwaterować po zabudowaniach, ale rozbiliśmy namioty na rozległych błoniach nad Niemnem i otoczyliśmy nasz obóz drutem kolczastym.

Tak się złożyło, że mój dowódca kazał mi pewnego dnia zebrać sześćdziesiąt podwód z tej wsi i pojechać z nimi po deski do tartaku. Gdy przyszło do spisania tych podwód zdziwienie moje nie miało granic: było - cyfry te utkwily mi w głowie - 37 Mickiewiczów, 11 Sienkiewiczów. Reszta, z małymi wyjątkami, nosiła nazwiska, z którymi spotykamy się na co dzień w społeczeństwie polskim. Sołtys, oporny i nieufny chłop białoruski, przyciśnięty przeze mnie przyznał niechętnie, że wieś była dawniej unicka i miała jakieś nadania królewskie.

Znawcy stosunków twierdzą, że podobne wsie spotykało się daleko poza Mińskiem. Po traktacie ryskim bolszewicy robili wielkie wysiłki, by te ślady Rzeczypospolitej zatrzeć. Jeszcze w czasie spisu ludności, przeprowadzonego przez bolszewików w roku 1926, niespełna sto tysięcy ludzi na obszarze Białorusi sowieckiej podało się za Polaków, zeznając równocześnie, że mówią w domu po białorusku! Toteż bolszewicy wzięli się energicznie do czystki i wysiedlili ludność z pasa pogranicznego, na sto wiorst głęboko. Wywieźli ją na Murmań czy Syberię.

Od czasu mego pobytu nad granicą mam żal do prof. St. Grabskiego, głównej sprężyny naszej delegacji w czasie rokowań pokojowych w Rydze w roku 1921. Prof. Grabski dobrowolnie - sam mi to opowiadał - nie zażądał od bolszewików Mińszczyzny, którą byłyby Sowiety oddały bez oporu.

Nie zapominajmy, że stan, który obserwowałam na Białorusi, stanowi bardzo odległy i mizerny ślad stosunków przedrozbiorowych. Półtora wieku konsekwentnych wysiłków rządów carskich zrobiło swoje (3). Ale po śladach możemy wnioskować o stosunkach dawnych. Jeśli w sto lat po rozbiorach na Litwie właściwej (kowieńskiej) wspomnienia Rzeczypospolitej panowały wszechwładnie; jeśli Wileńszczyzna, najwierniejsze z województw kresowych, była na drodze do ostatecznego zlania się z Rzeczypospolitą; jeśli na Białorusi zachowało się tyle elementu przywiązanego do Rzeczypospolitej (nie mówię tu oczywiście o dworach i związanym z nimi elemencie polskim); jeśli mimo wysiłków Austriaków (i naszej administracji) połowa ludności Rusi Czerwonej garnęła się do Rzeczypospolitej; jeśli na Ukrainie spis bolszewicki z roku 1926 wykazał jeszcze 450.000 Polaków, w tym kilkanaście tysięcy Polaków mówiących w domu po ukraińsku - to możemy stąd wnioskować, jak daleko pod koniec XVIII wieku musiał być posunięty proces narastania wielkiego narodu Rzeczypospolitej. Gdyby procesowi tego nie przerwały rozbiory, byłaby dziś Rzeczypospolita podobnie narodowo ukształtowana jak Francja, Wielka Brytania, Hiszpania, Rosja.

Słyszę już stereotypowy zarzut: tak, ale był to proces polszczenia się niepolskich obywateli Rzeczypospolitej, a nie powstawanie wspólnoty narodowej. To nieprawda. Należy stwierdzić z całym naciskiem, że jeśli można mówić o polszczeniu, to co najwyżej o językowym, gdyż poza tym wymiana dóbr psychicznych między elementami polskimi, litewskimi i ruskimi była powszechna i nie dałoby się dziś stwierdzić, jaki był wkład każdego z partnerów. Sama nawet mowa polska uległa silnym przekształceniom pod wpływem ruskim i litewskim. Szczególnie silny był wpływ Ukrainy na polską mowę literacką na przełomie wieków XVIII i XIX. Mieliśmy tzw. „ukraińską” szkołę literacką (Goszczyński, Zaleski, Malczewski, Słowacki), która silnie wzbogaciła polską mowę o ruskie wyrażenia i zwroty. Sam Mickiewicz, jak wiadomo, napisał parę wierszy po litewsku. Jakże silnie przypomina to Mistrala, wielkiego poetę naszych czasów, piszącego po prowansalsku, który uważał się za Francuza. Z drugiej strony mowa ukraińska kształtowała się również pod silnym wpływem polszczyzny. Znawcy twierdzą, że potowa słów, używanych przez Polaków i Ukraińców wspólna jest obu językom.

Słysz się glosy, uważające cerkiew grecko-katolicką za główną przeszkodę do zbliżenia polsko-ukraińskiego. Co za niezajomość dziejów! Ta cerkiew, największe może w dziejach Rzeczypospolitej osiągnięcie religijne i cywilizacyjne, była do potowy XIX wieku jednym z głównych narzędzi do kształtowania wielkiego narodu. Nasza wina, jeśli daliśmy tej cerkwi odejść w ostatnich latach tak daleko od idei Rzeczypospolitej. A i w tym najciemniejszym okresie

zachował się w tej cerkwi odłam, z biskupem Chomyszynem na czele, dążący do współpracy z Polakami.

Powstawanie wielkiego narodu przebiega stadia typowe, czy chodziło o Rzym czy Wielką Brytanię, czy Rzeczypospolitą. Można ustalić pewne prawa i podpatrzeć pewne analogie. Przebieg asymilacji bywa początkowo wolny, w ostatnim stadium postępuje bardzo szybko. Mogliśmy to stwierdzić na własnej skórze na procesach germanizacyjnych na naszej granicy zachodniej. Procesy te weszły w naszych czasach, po wielu wiekach powolnych postępów, właśnie w ten końcowy okres gwałtownej finalizacji. Również powstawanie wielkiego narodu na obszarach Rzeczypospolitej było w chwili rozbiorów w stadium, w którym, po przejściu etapów powolnych, byłaby nastąpiła w XIX i XX wieku szybka finalizacja. Rozbiory proces ten w niektórych okolicach cofnęły, w innych (np. Wileńszczyzna) tylko zwolniły. Naszą jest rzeczą nawiązać do wielkiej przeszłości i snuć dalej nici, zadzierzgnięte przez naszych praojców.

Wielki cel. Ogół Polaków trafnie dziś wyczuwa, że samo odzyskanie niepodległości nie wystarcza jako cel dla narodu. Z celem takim, nie mając wizji, jak nasze państwo ma wyglądać, szło poprzednie pokolenie i nie potrafiło uporać się z problemami niepodległego bytu. Tego błędu powtarzać nam nie wolno.

Nasze pokolenie ma już wystarczająco wyraźne wytyczne, jak urządzić Ojczyznę od wewnątrz. Ale nie rozgryzło jeszcze problemu położenia naszego w świecie. Jedno wie każdy rozsądny Polak na pewno: nie ma na świecie miejsca dla Polski małej, ograniczonej do tych ziem, w których każdy chłop mówi polszczyzną zbliżoną do mowy literackiej. Nie ma na świecie miejsca dla Polski Curzona. Granice Rzeczypospolitej muszą objąć wielki naród. Inaczej zginiemy.

Utworzenie wielkiego narodu było naszym celem od XIV wieku. Byliśmy bliscy tego celu w chwili rozbiorów. Musimy podjąć na nowo dzieło naszych przodków. Praca ta obliczona na wieki, toteż nie dajmy się zrazić trudnościami chwili obecnej, temu, że wizja wielkiego narodu może się w obecnej chwili wydać niejednemu utopią. W obecnej chwili, po stu pięćdziesięciu latach rozbiorów, po dwudziestu latach naszych własnych błędów, w chwili gdy kraj nasz jest okupowany. Ale to, co dziś wydać się może utopią, stanowi naturalny ciąg naszych dziejów i w niedługim czasie wniknie w świadomość zbiorową narodu.

Dojrzewanie wielkiego narodu w granicach Rzeczypospolitej trwać musi parę wieków. Postępować będzie stopniowo, w niektórych okresach szybko, w innych wolno. Będą zapewne chwile, podobne do obecnej, w których wydawać się będzie, że wszystko stracone. Będą chwile zwątpienia, kiedy pojawią się defetyści, głoszący koncepcję Polski etnicznej. Ale idea wielkiego narodu musi w końcu zwyciężyć po prostu dla tego, że stanowi konieczność naturalną, realizującą się od wieków.

Nawet po rozbiorach nie przestaliśmy budować wielkiego narodu, ale czyniliśmy to nieświadomie. Rzecz w tym, by w przyszłości czynić to świadomie. Jak każdy szanujący się naród, musimy i my wyłonić organy polityczne i społeczne, które pilnowałyby stałego kursu. Każde pokolenie powinno wyłonić zespół ludzi, mających na oku nasz wielki cel i realizujących go konsekwentnie, nawiązując do wysiłków pokoleń poprzednich. Zespół ludzi, nie ulegających mirażom zmiennych koniunktur politycznych, ale dążących z uporem - nieraz wbrew wszystkim - po wytkniętej drodze.

Nie ma innego rozwiązania. Ci, którzy głoszą zasadę zbratania wszystkich Słowian nie rozumieją, że Rosja to Azja, a przyszłość Polski, misja Polski, posłannictwo Polski jest przeciw Azji. Tu nie może być kompromisów ani łzawych sentymentów. Los nam kazał warować między Azją a Europą i żadnymi frazesami nie wykpimy się od naszego przeznaczenia. Przeciagnąć Ruś do Europy i zespolić się z nią na dolę i niedolę - nie jakąś mechaniczną federacją, ale najgłębszym zespoleniem psychicznym, jakie daje wspólnota narodowa - to warunek istnienia i dla Rusi, i dla Polski. To warunek bytu i wielkości.

Mit Rzeczypospolitej. Z dziejów ostatniego tysiąclecia wynika jasno, że Rusi południowej powodziło się - czasem świetnie, czasem jako tako - tylko w oparciu o Rzeczypospolitą. Krótki okres własnej państwowości, urozmaicony walkami z Połowcami, Chazarami, Jadźwingami itd., skończył się w pożodze najazdów tatarskich. Ruś rozkwita ponownie z chwilą oparcia się o Rzeczypospolitą.

Epoka Chmielniczyzny - tak przecież krótka - sprowadza potworną ruinę. Po rozbiórce Polski prowadzi Moskwa Ukrainę do katastrofy bolszewizmu, która wymiata z Ukrainy nie tylko całą jej elitę, ale i miliony chłopów, by stłumić ostatecznie wszelkie próby rozdmuchania ukraińskiej odrębności. Wreszcie ostatecznie poczynania bolszewików naocznie dowodzą Ukraińcom, że tylko potężna Rzeczypospolita może na Wschodzie Europy zapewnić ład i pomyślność.

Z katastrofalnych lat ostatnich powinna wyniknąć przynajmniej ta korzyść, by Ruś zrozumiała, że za wszelkie zapędy wrogie Polsce ona pierwsza płaci krwawy rachunek i że tylko we wzajemnym oparciu się o siebie leży nie tylko szczęśliwa przyszłość, ale po prostu możliwość istnienia w tej części Europy.

Sprawę ruską studiowałem w więzieniu lwowskim, w słynnych Brygidkach. Spotkałem tam Ukraińców wszelkich odcieni: od bojowców z OUN i komunistów z KPZU, poprzez Rusinów przychylnie usposobionych do Polaków aż po narodowców polskich o nazwiskach ruskich i rodzicach uczęszczających do cerkwi. Długo z wszystkimi gadałem. Zaprzyjaźniłem się ze „starostą” więziennym nacjonalistów ukraińskich i miałem wielki kłopot, gdy tenże zwrócił się do mnie z prośbą, by narodowcy polscy, przebywający wówczas w Brygidkach, poparli głodówkę Ukraińców. Przez kilka dni przeszkadzały mi w spaniu gorączkowe pukania Ukraińców, organizujących przez ściany swoją głodówkę. Przez kilka dni następnych rozbrzmiewały Brygidki nieludzkimi krzykami karmionych sztucznie Ukraińców. Finał był nieoczekiwany: umarł na zapalenie płuc, skutkiem wiania mleka do tchawicy przy sztucznym karmieniu, student, który w chwili przyścia do więzienia zachowywał się jak Polak i został dopiero w celi skaptowany do OUN.

W więzieniu w Siedlcach prowadziłem długie rozmowy z Ukraińcem, skazanym na dożywocie za rzekomy współudział w zabójstwie ministra Pierackiego. Ukraińca tego aresztowano na dwa tygodnie przed zabójstwem (był łącznikiem między OUN w Krakowie i Czechosłowacji) i skazano na dożywocie za to, że mieszkał razem z fabrykantem bomby, którą znaleziono na miejscu zamachu. Dożywocie dla dwudziestoletniego młodzieńca - to dużo. Twardy to wyrok. Od takich wyroków rośnie morze nienawiści i zalega między nimi a nami. Nienawiści, u której podstaw leżą nasze i ich winy, ale której podżeganiem zajmują się od wieków nasi wrogowie.

Przystając z Ukraińcami miałem zawsze nieodparte wrażenie swojskości. Czułem, że to ludzie ulepieni z tej samej gliny co i my, krewniacy spowinowaceni z nami pochodzeniem, dziejami i cywilizacją, bracia młodszy i z innej matki, bardziej wschodniej, ale z wspólnego pnia. Łączy nas krew wspólnie przelana nad rzeką Worskłą, pod Grunwaldem, Kłuszynem i Chocimiem i ostatnio pod Kijowem. Dzielą nas Żółte Wody i Beresteczko, Humań, rok 1918 i 1939. Dzieli nas moskiewski i pruski srebrnik. Dzielą nas krzywdy prawdziwe i urojone, dzielą nas ambicje obustronne, z których nasi wrogowie krzeszą iskry walki bratobójczej. Wiem, że nienawiść do nas nie wygaśnie u Ukraińców w obecnym pokoleniu. Może i nie w następnym. Jako starszym i rozważniejszym, nie wolno nam się tym zniechęcać. Musimy budować cierpliwie gmach Rzeczypospolitej, aż nabierze takiego blasku, że i oni staną do tej budowy. Nie wszyscy staną od razu, ale to nie szkodzi. Gmach to ma być wiekuisty i dźwigać się musi bez pośpiechu, w mozole i poświęceniu. Przyjdzie dzień, że zręby jego wrosną w ludzkie dusze i mit wspólnej Rzeczypospolitej przyćmi mit niepodległej Ukrainy. Chwila ta jeszcze daleka. Ale musimy wierzyć w jej przyście i nie zrażając się - budować.

Mit Rzeczypospolitej zapali wyobraźnię i porwie serca na tych bezmiernych przestrzeniach, na których nie ma miejsca dla małości.

1941 r.

PRZYPISY:

- (1) Proces ten przebiegał dość podobnie do Unii polsko-litewskiej.
- (2) Była nawet chwila dziejowa, za Zygmunta III, gdy myślano o unii z Moskwą.
- (3) Np. Chełmszczyzna, tak niedawno walcząca gorliwie w obronie Unii i tak bliska idei Rzeczypospolitej, ostatnio przywiązana była do cerkwi prawosławnej.

Julian Tuwim

**Poeta zazdrości literatowi imieniem Staś, że jest Sarmatą, on zaś,
nieszczęsny poeta, Żydem jest parchatym, takż żywot obojga stron
wiernie opisany**

Szczęśliwy, po trzykroć szczęśliwy ten Staś!
Ma oczki jak polne bławatki,
I nosek ma śliczny, i włosy jak paż,
I Iniane, włościańskie ma szatki.

Stasiowa babusia szlachecki ma herb,
A moja – z najgorszych gudłajów:
Majufestanz? Goldfeld? Czy Silberberg?
Sam nie wiem, lecz coś w tym rodzaju.

U Stasia na stole korowaj i miód,
Za stołem – ataman Wasiutko;
A u mnie – Grycendler i maca, i brud,
I Josele Wyttyln (ten z bródką).

U Stasia w świetlicy rycerzyk i kmieć,
I Kostia Gałczyński z ryngrafem,
A u mnie w bóżnicy bolszewik i śledź
I Ajzyk Słonimsker za szafem.

U Stasia, gdzie spojrzeć, to kontusz i kord,
Sam Mosdorf obdarza go łaską,
A u mnie od strasznych aż roi się mord
(Plus mord rytualny przed Paschą).

Staś duchem jest wzniosły, ideał ma swój,
To dusza szlachetna i czysta,
A ja jestem Żyd, jestem świnia i zbój,
I ach! Nasermaterialista!

U Stasia w głowinie porządek i ład,
Pogodnie, przyjemnie i równo,
Ja – w głowie żydowskiej i w sercu mam jad,
Szmoncesik, geszefcik i gównno.

Jak Staś powie „Staś” – to jest „Staś a nie Stasz”,
A ja – te akcenty mam „nasze”,
Ulituj się Staszu, i pomyszl, i zważ!
Pszakrew, ja sze martwię z tym Staszem!

Komentarz:

Gdyby nie autorstwo Juliana Tuwima to pewno bym nie zamieścił tego wiersza;)

Tadeusz Gajcy
O szewcu zadumanym

Młotek przewija ręce poplątane wstążkami żył,
miętko spada lśniący jak przędza
młotek srebrny - jest czy się śni?

Głowa ciężka zwieszona do kolan
na pomoście nocy i brzasku,
a za nocą - jeziora wołań,
a za brzaskiem - strumienie czasu.

Okna czarna głęboka studnia,
zasypana głębokim niebem,
pomóż pokój głęboki zaludnić
twarzą moją lub moim śpiewem.

Pomóż oczy mi smutne i młode
z wnętrza smutku jak rzeki wyłowić,
o poeto - biedniejszy o młotek,
o poeto - bogatszy o słowo.

Zanurzony w nocy jak pływak
sny rozgarniam palcami na dratwie
a za snami - pustka szczęśliwa,
a za pustką - już śpiewać potrafię.

Zbigniew Herbert
17 IX

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
a droga którą Jaś Małgosia dreptali do szkoły
nie rozstąpi się w przepaść

Rzeki nazbyt leniwe nieskore do potopów
rycerze śpiący w górach będą spali dalej
więc łatwo wejdiesz nieproszony gościu

Ale synowie ziemi nocą się zgromadzą
śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności
będą czyścili swoje muzealne bronie
przysięgali na ptaka i na dwa kolory

A potem tak jak zawsze - łuny i wybuchy
malowani chłopcy bezsenni dowódcy
plecaki pełne kłęski rude pola chwały
krzepiąca wiedza że jesteśmy - sami

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
i da ci sążeń ziemi pod wierzbą - i spokój
by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu
najtrudniejszego kunsztu - odpuszczania win